

Lódź tygodnik społeczno-kulturalny

# Odgłosy

NUMER 7 (1298) ROK XXVI

12 LUTEGO 1983 ROKU

CENA 15 ZŁ

- Był taki książę
- Konflikt
- czy zgoda pokoleń?
- Konfrontacje 81
- 30 lat na klęczkach



Dworek w Byszewach. Rok 1978.

Fot.: Janusz Zawiejcki

## Ballada o pięknych dziewczynach

EUGENIUSZ IWANICKI

Zanim jeszcze wstanie świt, by wyzwolić z czerni nocy kontury drzew i domów, zanim asfalt dróg rozjaśni się matową szarością, setki dziewczyn opuszczają przytulne i nagrzane mieszkania. Ze snem pod powiekami, z ciałem ciężącym ku poscieli, rozpoczynają codzienną wędrówkę ku miastu. Przesycone smarem, benzyną i dermą autobusy wchłaniają zziębnięte figurki tłoczące się na wiejskich przystankach i wiozą w zastygłą noc, gdzieś za siedem gór i siedem lasów, w wysniony świat ruchu, światła i zielku.

Na wąskim pasie wyluskiwanej przez reflektory szosy, mijają skulone sylwetki innych kobiet uczepionych kierownicy rowerów, które także podążają ku temu samemu celowi.

Ta peregrynacja trwa już dwadzieścia bez mała lat; setki dziewczyn porzuca przed świtem ciepłe posłania, setki innych późną nocą wraca do nie ogrzanych jeszcze łóżek. Ten nocny ruch będzie trwał jeszcze przez następne dwadzieścia lat, a może i przez lata oznaczone symbolami 1990, 1995, 2000... Wraz z latami będą zmieniać się dziewczyny. Jedyńia nie zmienią się miejsce ich dążeń: miasto, obszerne hale, stukot maszyn krawieckich, kolor tkanin.

„Wólczanka” zrosła się z Łaskiem. Kiedy kopano rowy pod fundamenty, zaczęła rodzić się legenda, przyszły zakład obrastał w mity, stał się od razu symbolem nadziei. Nie przypominam sobie żadnej inwestycji, która wzbudziłaby tyle spekulacji, tyle sprzecznych opinii, która zanim została ukończona była nazywana „socialistycznych Klondike”.

Wróćmy do historii. Łask, choć leży na szlakach komunikacyjnych łączących Śląsk, Wielkopolskę i Wybrzeże z Łodzią, nie posiadał przemysłu. U początku lat sześćdziesiątych granicę północną miasta stanowił mur miejscowego cmentarza i miejski szpital usytuowany w budynku poklasztornym. Dalej były nieurodzajne łąki, a właściwie nieużytki. Jeśli mężczyźni mogli jeszcze zacząć się w rozbudowywanym właśnie Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego kobiety z reguły były skazywane na miejsca za sklepowymi ladami lub w najlepszym przypadku trafiły do urzędów. Jedyńia latem mogły sezonowo znaleźć pracę w przetwórnicy Owocowo-Warzywnej przy truskawkach. Co odważniejsze jeździły do Pabianic, Łodzi i Zdunskiej Woli do „roboty we włóknie”. A tu wiadomość jak główna wygrana: w Łasku powstaje oddział

4

## Gdzie te panny, gdzie to Wilko...

PAWEŁ TOMASZEWSKI

„Wyszedł z lasu. Tu zaraz był słup graniczny i figura świętego Nepomucena. Spojrzył w tamtym kierunku. Ileż to razy, zawsze przecie idąc czy jadąc do wujostwa, zbaczal, nakładał dwa kilometry, aby zajść do tego dworu. Nazywał się zabawnie — Wilko...”

Do Wilka wybrać się dziś można albo z Dworca Północnego pociągami, który zatrzymuje się we wsi, niedaleko od dworku, albo z Placu Dąbrowskiego autobusem podmiejskiej linii 251 do Nowosolnej, a wtedy resztę drogi — około 5 kilometrów — odbyć trzeba pieszo. Można też oczywiście śladami Wiktora Rubena, dojechać pociągiem do stacji Rogów i dopiero stamtąd ru-

żyć szosą wiodącą wśród pól i lasów, przez Brzeziny i Lipiny. Tak właśnie pierwszy raz przyjechał w te strony Jarosław Iwaszkiewicz.

Było to latem 1911 roku. Józef Świerczyński, kolega z kijowskiego gimnazjum, zaproponował mu wyjazd w charakterze korepetytora swoich braci do majątku wuja — „w piotrkowskie”. Dla 17-letniego

Jarosława wyprawa z rodzinnej Ukrainy hen aż pod Łódź miała wówczas posmak prawdziwie egzotycznej przygody. Nie znał przecież zupełnie środkowej Polski, która oczarowała go i w krótkim czasie przywiązała do siebie — jak napisał później w „Książce moich wspomnień”. W

7



Foto: M. Zajdler

## Operacja „Pierścień”

HENRYK DOBIEGAŁA

2 lutego 1943 roku uciły strzały trwających dwadzieścia dni i nocy na ogromnym obszarze w międzyrzeczu Wołgi i Donu zaciętych walk składających się na gigantyczną bitwę stalingradzką. Ta wielka epopeja orężna pod względem rozmachu, natężenia i skutków nie zna sobie równych w historii. Było to wydarzenie na skalę światową. Właśnie tu, na głównym froncie II wojny światowej, zostało doszczętnie rozbite jedno z największych strategicznych zgrupowań niemieckich wojsk faszystowskich, z którego działaniem kierownictwo wojskowo-polityczne III Rzeszy wiązało daleko idące plany podbojów. Po tej druzgocącej klęsce wroga nad Wołgą, Armia Radziecka przejęła inicjatywę strategiczną i nie oddała jej do końca wojny.

Pierwsze trzy lata wojny, to rozszerzanie agresji i sukcesy bloku faszystowskiego. W drugiej połowie 1942 roku państwa tego bloku osiągnęły szczyty swych podbojów terytorialnych. Pod koniec trzeciego roku wojny państwa napastnicze okupowały terytoria o łącznej powierzchni 12,8 mln km kw. z około 500 mln ludności.

### SIŁY NIEMIECKIE W 1942 R.

Największy rozmach i napięcie osiągnęły działania wojenne na froncie radziecko-niemieckim, gdzie latem 1942 roku, w walce zbrojnej uczestniczyło po obu stronach około 12 mln żołnierzy, na długości linii frontu rozciągającej się ponad 6.000 km. Blok faszystowski, u progu jesieni 1942, stanowił jeszcze ogromną siłę, liczącą 6,2 mln żołnierzy, około 52 tys. dział i moździerzy, ponad 5.000 czołgów i dział pancernych oraz 3.500 samolotów.

Nigdy dotychczas nie znajdowało się na froncie radziecko-niemieckim tyle nieprzyjacielskich związków taktycznych, ile na początku października 1942 roku, a mianowicie aż 266 dywizji; z tego: niemieckich — 194, fińskich — 18, rumuńskich — 26, włoskich — 11; węgierskich — 14, słowackich — 2 i hiszpańskich — 1. Nieprzyjacielskie wojska lądowe wspierane były dużymi siłami lotnictwa i marynarki wojennej.

Ponad 80 proc. zasadniczych sił nieprzyjaciela skoncentrowano w grupach armii „Północ”, „Srodek” i „B”, działających od Zatok Flńskiej do Stalingradu, a na Przedkaukaziu — grupa armii „A”. W Europie Zachodniej i na Bałkanach panował w tym czasie względny zastój. W Niemczech i okupowanych przez nie krajach stacjonowało 71 dywizji, w tym we Francji, Holandii — 35, w Danii i Norwegii — 14, na Bałkanach 7, w Niemczech, Austrii, Polsce i Czechosłowacji — 15. Były one przeznaczone do pełnienia służby okupacyjnej i uzupełniania dywizji rozbitych na froncie radziecko-niemieckim. Tu właśnie wyczerpywała się siła uderzeniowa bloku faszystowskiego. Ze wszystkich strat, jakie poniosły siły zbrojne III Rzeszy do drugiej połowy 1942 roku, 96 proc. stanowiły straty na froncie wschodnim.

### GŁÓWNE SIŁY ARMII RADZIECKIEJ

również skoncentrowano między Zatoką Flńską a Astrachaniem. Rozwinęto tu dwanaście frontów: Leningradzki, Wołochowski, Północno-Zachodni, Kaliniński, Zachodni, Briński, Woroneski, Południowo-Zachodni, Doński, Stalingradzki, Karelski i Zakaukaski. W armii czynnej znajdowało się 390 dywizji piechoty i kawalerii, 254 brygady piechoty, pancerne i zmechanizowane, 17 korpusów pancernych i zmechanizowanych. Dysponowały one blisko 7 mln żołnierzy, około 80 tys. dział i moździerzy, ponad 7.000 czołgów i dział pancernych oraz ponad 4.500 samolotów. Stosunek sił na froncie radziecko-niemieckim, w listopadzie 1942 roku, zmienił się na korzyść Armii Radzieckiej i wynosił: w ludziach 1,1:1, w działach 1,5:1, w czołgach 1,4:1 i samolotach 1,3:1.

### UDERZENIE NA POŁUDNIU

Porażka wojsk niemieckich pod Moskwą, niepowodzenia na innych frontach w Związku Radzieckim, zmusiły Niemców do zmiany planów strategicznych. Postanowili zdobyć jak największe ilości ważnych, wojskowo-gospodarczych rejonów na południu Związku Radzieckiego, głównie zaś rejonów naftowych na Kaukazi, opanować rolnicze obszary Donu, Kubania i zdobyć Stalingrad, jako ważny punkt strategiczny i węzeł komunikacyjny nad dolną Wołgą.

Do realizacji tych planów przystąpiły wojska grupy armii „B” feldmarszałka F. von Bocka: ogółem 71 dywizji oraz grupa armii „A” feldmarszałka W. Lista: ogółem 43 dywizje. Należy dodać, iż zmiana planów strategicznych wroga podyktowana była również duży-

3

# Przeгляд prasy

## NIE PRZEZ PROTEKCJE

Prof. Mariusz Gulczyński jest też naszym autorem, ale ze względu na myśli, jakie usiłuje propagować, postanowiłem zwrócić Czytelnikom uwagę na jego publikację w „PRZEGLĄDZIE TECHNICZNYM” (nr 1 z 2 stycznia 1983 r., a nie jest to moje, tylko pisma opinione, gdyż tak właśnie, a nie inaczej pismo to wychodzi) Mariusz Gulczyński proponuje „Wygrać kryzys”. Zwraca uwagę, że „współczesny amerykański marksista, David Gordon, dowodzi, że to właśnie kryzys stanowił decydujący bodziec zmuszający do modyfikacji ekonomii i polityki kapitalizmu, sprzyjający do efektywnej utrzymywaniu się funkcjonalności tego ustroju”.

Nie wynika z tego wcale, że kryzysy są nieuchronnością również w socjalizmie, jeśli bowiem sprzeczność zostaną w porę dostrzeżone, a odpowiednio i funkcjonujące mechanizmy gospodarcze i społeczne uruchomione, to nastąpi w wyniku świadomego działania ludzi takie rozwiązanie sprzeczności, które nie pozwoli na przeskalowanie ich w konflikty. Również wykorzystanie kryzysu dla osiągnięcia modyfikacji nie dokonano się samoczynnie.

„Dla przekształcenia negatywu w pozytywu — pisze M. Gulczyński — kryzysu gospodarczego w usprawnienie powodujące efektywniejszy rozwój, konfliktu politycznego w modyfikację systemu zwiększającą skuteczność działań i działań społeczeństwu — niezbędna była, jest i będzie świadomie zorganizowana aktywność ludzka”.

Trzeba zdawać sobie jednak sprawę z przyczyn kryzysu. M. Gulczyński wyodrębnia cztery grupy przyczyn:

1. winni są im organizatorzy naszego zespolonego działania — trzeba więc zmienić ekipę kierowniczą;
2. przyczyną tkwi w systemie politycznym — konieczna jest więc jego głęboka modyfikacja;
3. główne źródło tkwi w wadliwości systemu gospodarczego — niezbędna jest zatem reforma sposobów gospodarowania;
4. nasze niezadowolenie wynika z niewspółmierności aspiracji do dostatków wzorowanych na najwyżej rozwiniętych kapitalizmie z możliwościami naszego potencjału — należy urealnić i zmodyfikować nasze aspiracje.

Jeśli trzy pierwsze przyczyny i drogi ich rozwiązania nie budzą dziś zastrzeżeń, to ta czwarta przyjmowana jest z dużymi oporami. W roku 1956 i 1970 próbowano rozwiązywać kryzys poprzez zmianę ekipy i dziś już wiemy, że to kryzysu nie rozwiązało. Dziś jesteśmy na początku drogi prowadzącej do modyfikacji systemu politycznego i gospodarczego, co powinno zwiększyć udział różnych grup społecznych w podejmowaniu decyzji, kontrolowaniu ich realizacji, jak i w samej realizacji i to nie ma większych różnic zdań, co do kierunku przeobrażeń, określając je jako rozwój demokracji socjalistycznej i samorządności w ramach ustroju socjalistycznego. Bądź często zastrzeżenia tempo tych przeobrażeń, sposób ich realizacji.

Natomiast „konieczność krytycznego spojrzenia na kształt naszych aspiracji do dostatków” budzi już poważne wątpliwości. — Jak to? — mówią niektórzy — mamy świadomie zakładać, że będziemy długo jeszcze żyli gorzej niż inni, a dopiero naszym prawem będzie dane żyć w wysokim standardzie. — Ale — można odpowiedzieć im na te wątpliwości — czy nas dziś stać na to, abyśmy mogli wszyscy żyć na poziomie Francji czy Anglii? Profesor Mariusz Gulczyński nie przypadkiem przypomina Iran, Brazylię, Turcję i Meksyk, gdzie również znacznie wygórowano aspiracje do dostatków nie licząc się z realiami i możliwościami. Przypomina on też pewną prawidłowość, że im silniejsze są dążenia do naśladowania wzorów poziomu życia krajów wysoko rozwiniętych, tym większa jest groźba uwikłania w pełnię zależności finansowych, technologicznych i ideologicznych od

centrów kapitalistycznych”. Co nam się zresztą przytrafiło. Poza tym warto pamiętać, że owe wysoko rozwinięte kraje też mają i będą miały kłopoty z utrzymaniem owego wysokiego poziomu życia. „Bezwygodną barierą — pisze M. Gulczyński — jest bowiem kryzys surowcowo-ekologiczny, wymuszający konieczność zastępowania wyciągu w rozmiarach przerabiania przyrody na towary — przez bardziej sensowne współzawodnictwo w racjonalności adaptowania przyrody dla potrzeb bytu całych społeczeństw. W tym współzawodnictwie socjalistyczne cele i zasady mogą stwarzać podstawy rozumniejszego gospodarowania. Wymaga to wypracowania i wdrażania racjonalniejszych niż w rozwiniętym kapitalizmie sposobów zaspokajania potrzeb bytowych”.

M. Gulczyński nie głosi tezy popularnej, łatwej do przyjęcia — zresztą na ten sam temat pisał niedawno w „Odgłosach” — ale pozwalającą wyzbyć się złudzeń i zamiast oczekiwań na manne z nieba albo i cud gospodarczy dokonany przez siły nadprzyrodzone, zrozumieć, że wszystko zależy przede wszystkim od naszych możliwości i sposobu ich wykorzystania.

Tymczasem ciągle jeszcze można się spotkać z poglądem, który głosi:

## „...TOBIE WCIAŻ SIĘ JESZCZE WYDAJE, ŻE COŚ MOŻNA ZROBIĆ W TYM KRAJU”

Pogląd ten przytacza profesor Mikołaj Kozakiewicz w rozmowie z Andrzejem Jonaszem, która ukazała się na łamach „TU i TERAZ” (nr 5 z 2 lutego 1983 r.). Przedmiotem rozmowy jest PRON — jego teraźniejszość, kształt i przyszłość. M. Kozakiewicz powiada: — „Przed wszystkim PRON-u jeszcze nie ma. Dopiero powstaje. Nie ma też zgodności poglądów w tonie tego co już jest”. Dopiero kongres PRON przyjmie deklarację, statut, regulamin i da formalny początek ruchowi. Jak się jego przyszłość ukształtuje, tego nie wiemy. Ale dyskutuje się już o tej przyszłości i prof. M. Kozakiewicz prezentuje swój pogląd. Punktem wyjścia tego poglądu jest stwierdzenie, że „słota państwa polega tylko na stopniu poparcia społecznego. Na stopniu identyfikacji narodu z państwem. A to z kolei zależy od tego, czy to państwo realizuje wartości i aspiracje narodu”.

PRON w koncepcji M. Kozakiewicza nie ma być ani wybiegiem taktycznym politycznych sygnatariuszy deklaracji z 20 lipca 1981 r. dla zdobycia poparcia — tak zresztą myśli wielu — ani tym bardziej fasadową nadbudówką przykrywającą stare praktyki zmierzające do nieliczenia się ze społecznymi potrzebami i oczekiwaniami.

Czymże więc ma być PRON?

Powinien być formą współuczestnictwa społecznego w sprawowaniu władzy. Ale nie tylko. Oto, jak M. Kozakiewicz wyjaśnia te kwestie:

„Współuczestnictwo polegałoby na uzgodnieniu konkretnych rozwiązań. Różnorodność racje społeczne (społeczeństwo przeciętne nie jest jednolite) i różnorodność racje władzy byłoby punktem wyjścia. A celem byłoby doświadczenie do porozumienia, które rozwiązania są optymalne i do przyjęcia dla obu stron. Po osiągnięciu tego celu organizacje się poprzez PRON poparcie społeczne dla tej konkretnej sprawy. Nie generalnie dla władzy, nie generalnie dla rządu Jaruzelskiego, czy kogoś innego, tylko dla takiego oto właśnie rozwiązania takiej konkretnej sprawy”.

A jeżeli do takiego porozumienia nie dojdzie?

„Jeżeli do takiego porozumienia nie dojdzie — powiada M. Kozakiewicz — to w myśli tej koncepcji, która jest mi bliska i którą przynajmniej część członków komisji inicjującej popiera, to — takie forum winno mieć możliwość zgłoszenia sprzeciwu. Wsuniecie wszystkich argumentów przeciw. Ale oczywiście nie odbiera to władzy prawa do podjęcia decyzji sprzecznych z opinią PRON-u. Decydować powinien ten, kto wykonuje decyzje i ponosi za nie odpowiedzialność. Z tym, że w takim przypadku PRON winien mieć możliwość ogłoszenia swojego odrębnego stanowiska, swojej kandydatury”.

Koncepcja jest interesująca. Są też — jak można wywnioskować — inne. Ciekawym byłoby je również poznać. W miarę rozwijania się dyskusji programowej, w miarę zbliżania się do kongresu PRON będziemy je poznawali. Dyskusje takie toczą się również w Łodzi i mam nadzieję, że będziemy mogli je zrelacjonować i na naszych łamach.

Skoro już mowa o naszych łamach, to czuję się w obowiązku odnotować, że w „WIADOMOSCIACH SKIERNIEWICKICH” (nr 4 z 27 stycznia 1983 r.) zdarzyła się

## POLEMIKA Z „ODGŁOSAMI”

Z artykułem Edwarda Bryla „Podzwonne tragedii słubickiej” podjął polemikę Zbigniew Kostrzewa w artykule pt. „Słubice — słowo wymagające prześwietlenia”. Autor wszędzie korzysta z okazji, aby wbić szpilki również i pismu. Pisze: „Nie wytrzymał nerwowo kolejny dziennikarz i wzorem innych dołączył do najszybszego do Słubic. No bo wprost trudno sobie wyobrazić, żeby mogło tam zabraknąć przedstawiciela szacowanego bądź co bądź tygodnika społeczno-kulturalnego, jakim niewątpliwie pragnął być „Odgłosy”. Nie pozostaje mi nic innego, jak złożyć serdeczne podziękowanie za tę bezinteresowną zawiść”.

Zbigniew Kostrzewa zarzuca natomiast Edwardowi Brylowi, że dołączył do najszybszego „słubickiego miasteczka” (??), jak również włączył się w „brutalne wchodzenie co niektórych z butami w sam środek ludzkiego nieszczęścia — przesłuchania lekarzy, pielęgniarzek, rodzin”, jakby uważnie nie przeczytał tego, co E. Bryl napisał. A właśnie miał to między innymi dziennikarom za złe. Za niestosowne ma też Z. Kostrzewa przypomnienie niektórych spraw łódzkich. Nie ma zamiaru wyręczać E. Bryla w polemice, jeśli uzna za stosowne zabrać głos. Mogę tylko wyrazić zdziwienie, że w Łodzi nikt na to oficjalnie i publicznie nie zareagował, odeswał się natomiast Zbigniew Kostrzewa ze... Skierniewic.

Tak się złożyło, że „TYGODNIK KULTURALNY” (nr 5 z 30 stycznia 1983 r.) opublikował kolumnę listów, jakie napłynęły do redakcji po opublikowaniu w 32 numerze „TK” artykułu Edwarda Bryla „Sposób na stołek”. Z redakcyjnej noty mogę skiernie wickiemu autorowi zacytować następujące stwierdzenie: „Nie doczekaliśmy się jedynie reakcji ze strony kierownictwa łódzkiej służby zdrowia oraz Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej”.

„Sposób na stołek” był krytyką metod pracy dyrektora ZOZ Łódź — Górna. Oto, co pisze na ten temat w „TK” mgr Bolesław Krajewski — szef Komórki Zespołu Opieki Zdrowotnej Łódź — Górna: „Warunki pracy w ZOZ nie sprzyjają spokojnej działalności zarówno kadry kierowniczej, jak i innym pracownikom, co powoduje ich częsta fluktuację. Wielokrotnie rozmawiałem o tych sprawach z dyrektorem, wykazując mu, że nie ma monopolu na rację i mądrość. Do rozmów tych wymieniony nie przywiązywał większej uwagi, z reguły zmieniając temat rozmowy”. B. Krajewski wymienia tych, którzy nie wytrzymali warunków pracy, panującego tam napięcia i odeszli z ZOZ Łódź — Górna.

Do redakcji „TK” napisała również była sekretarka ZOZ Łódź — Górna — Mirosława Deregowska. Oto fragment jej listu: „Ludzie pracujący w ZOZ-ie są zastraszeni. Szef ma układy. Odgracza się, że nie mu je zrobia, nie tacy chcieli i musieli zrezygnować. Grozi sądem osobom wypowiadającym się w artykule. I słusznie, przed sądem będę miała więcej do powiedzenia”.

Na koniec opinia „Byłe pacjentki Przychodni przy ulicy Felińskiego” — tak się podpisała: „Balaton w ZOZ-ie Łódź — Górna jest okropny! I dobrze, że ktoś wreszcie się za to wziął. Ludzi na rejonach traktuje się gorzej niż źle, dokumenty giną w rejestracji. (...) Jak z tak karygodnych zaniedbań administracyjnych potrafi się wyłgać? Mnie też zginiły dokumenty z rejonu, potem miałam sporo kłopotu z leczeniem. Wszystko co się skończyło się z chwilą zmiany miejsca zamieszkania, a co za tym idzie, rejonu.”

## ŚLYNNA KRADZIEŻ OBRAZÓW ZDARZYŁA SIĘ W ŁODZI

w sierpniu 1981 roku. Powtórzyła się ona dokładnie w rok później — w nocy z 26 na 27 sierpnia 1982 roku. Tym razem złodzieje weszli do Centralnego Muzeum Włókiennictwa i skradli 4 dywany i 4 gobeliny. Metoda włamania — przez właz przeciwpożarowy na dachu — podobna do poprzedniej. Złodzieje dobrze rozpoznali teren. Nie mieli jednak tego, kto by im wskazał eksponaty, jakie należy ukraść. Zabrał nie najwartościowsze. W związku z tym Jerzy Z. Lessmann pisze w „PRZEKROJU” (nr 1964 z 30 stycznia 1983 r.):

„Wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z jedną i tą samą szajką, dokonującą skoków na kolejne muzea. Które następne?”

Wróćmy do Muzeum Sztuki w Łodzi. J. Z. Lessmann przypomina informację PAP zytułowaną „Epilog kradzieży dzieł sztuki w Łodzi” i pyta przy okazji dyrektora Muzeum — Ryszarda Stanisławskiego, co o tym sądzi. R. Stanisławski występował w Monachium na procesie jako świadek. Przypomnę jeszcze, że z 14 skradzionych dzieł do Łodzi wróciło 11. A oto wypowiedź R. Stanisławskiego:

„Aurer, vel Markiewicz, milczal na procesie jak grób, ale podobno w śledztwie miał oświadczyć, że trzy nie odnalezione pozycje skradzione w Łodzi, a to — rzeźba w brzoju Renoira oraz obrazy Adlera i Hrynkiowskiego, znajdują się w Polsce i są ukryte gdzieś w okolicach Łodzi. Odnalazłem te wszystkie informacje i zainteresowałem nimi kogo trzeba. Nie znaczy to oczywiście, iż są prawdziwe. Muszę jednak stwierdzić, że tytuły w prasie: „Epilog kradzieży dzieł sztuki w Łodzi” mocno mnie strytowały. Po pierwsze — nie odnaleziono wszystkich skradzionych dzieł, a po drugie, jak dotąd, milicja nie chwytła włamywaczy”.

## TYM RAZEM KŁAKSON

natchnął Henryka Gaworskiego do napisania wiersza z cyklu „Portrety i portreciki”. Oto fragment tego wiersza:

„Nie mam pojęcia, kto jest Klakson. Może to Arab, Szwed lub Saks on, hermetyczny, mały, niewiasta?”

Pseudo jak miga osoba skrywa. Jedno się tyk z tej mgły odrywa. A kiedy wiatr poruszy mgłę tę, malczy coś jak balon wzdęty i cien jakowyś się porusza o wyjątkowej krasie uszach, z których by dumny był elefant. Nie słon so jednak. Nie ta straż”.

Kim jest Klakson — wszyscy wiemy. Pisuje w „Szpilkach” stały felieton. Ostatnio naraził się „BARWOM”, z których wiersz ten zaczerpnąłem (nr 1 z 2 stycznia 1983 r.). I na zakończenie zgodnie z przyjętym zwyczajem

## ŁÓDZCY AUTORY NA OBCYCH ŁAMACH

— Tadeusz Chrościelewski w „TYGODNIKU KULTURALNYM” w nr 4 z 23 stycznia 1983 r. pomieścił fragment wspomnień „Krajobraz z panikutami i Baśką”, a w „SZPIPKACH” w nr 4 z 27 stycznia — wiersz „Bronię kameleonów”.

— Roman Gorzelski w „MAD WARTA” nr 5 z 3 lutego 1983 r. pomieścił wiersz „Stacja w stylu West”.

I to wszystko z ostatnich dwu tygodni.

LUCJAN BOGUSZ

## W SEJMIE: POLITYKA ZAGRANICZNA PRL

I bm, zakończyło się dwudniowe posiedzenie Sejmu PRL — ostatnie w jesiennej kadencji, która trwała pięć miesięcy. Uchwalono trzy ustawy. Dwie z nich noszą charakter głównie emerytalno-rentowy. Są to ustawy: o zaopatrzeniu emerytalnym górników i ich rodzin oraz o zmianie niektórych przepisów o świadczeniach z ubezpieczenia społecznego i o zaopatrzeniu emerytalnym. Trzecią ustawą jest nowe prawo o ruchu drogowym.

W pierwszym dniu obrad izba wysłuchała informacji rządu o kierunkach polityki zagranicznej PRL i podjęła w tej sprawie uchwałę.

## FRAGMENTY INFORMACJI MINISTRA STEFANA OLSZOWSKIEGO

Ani obecna skomplikowana sytuacja międzynarodowa, ani głęboki proces zmian wewnętrznych w Polsce, nie podważają dotychczasowych zasad polskiej polityki zagranicznej, które są zgodne z najżywniejszymi interesami narodu i państwa polskiego. Potwierdzeniem tego znajdujemy w uchwałach IX Nadzwyczajnego Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Uwzględniając gorzkie nauki ze swej historii, opierając się na wspólnych idealach socjalizmu, zbudowanym bezpieczeństwu Polski na trwałych dwu- i wielostronnych sojuszach z sąsiadami i pozostałymi braćmi państwami socjalistycznymi. O słuszności dokonanego wyboru przekonał się wielokrotnie.

Sojusznicze więzi przyjaźni i współpracy ze Związkiem Radzieckim, wyrosłe ze wspólnej walki rewolucjonistów, przypięczone wspólne przelana krew w zmaganiach z faszyzmem, pozostają niezmiennie od 38 lat kamieniem węgielnym polskiej polityki zagranicznej. Sojusz ten wszechstronnie umacniany. Stałe potwierdza się głęboka wymowa tej prawdy, że polską i międzynarodową politykę Związku Radzieckiego leży w najgłębszym rozumianym interesie Polski Ludowej, a istnienie silnej, niepodległej, socjalistycznej Polski leży w żywotnym interesie Związku Radzieckiego.

Sojusz polsko-radziecki pozostaje podstawową gwarancją bezpieczeństwa Polski, nienaruszalności naszych granic, istotnym czynnikiem zwalczającym w spóldziałaniu państw socjalistycznych. Służą on również wspólnej sprawie pokoju i bezpieczeństwa w Europie, jest jednym z istotnych jej elementów i składowych.

(...) Polska należy do pionierów odprężenia na naszym kontynencie. Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie stanowi jedno z największych osiągnięć w historii stosunków państw europejskich. Aktywnie przeciwdziałamy podważaniu wspólnego dzieła zapoczątkowanego w Helsinkach, deformacji i erozji procesu dialogu i współpracy państw europejskich.

Godnie odpowiedziliśmy na bezprawne próby mieszania się do naszych spraw wewnętrznych na forum spotkania madryckiego KBWE. Dziś z nadzieją odnotowujemy wznowienie w Madrycie rzeczowej dyskusji. Pragniemy, aby nowa runda prac tego spotkania, rozpoczynająca się 8 lutego bieżącego roku, toczyła się w atmosferze konstruktywnych rokowań i aby doprowadziła do istotnych wyników, w tym do tak potrzebnej Europie decyzji o zwolnieniu konferencji posługującej się środkami budowy zaufania i bezpieczeństwa oraz rozbrojenia w Europie.

Nie leży w interesie żadnego państwa europejskiego przeciąganie spotkania madryckiego lub podważanie jego znaczenia. Polska doклада będzie wszelkich starań, aby spotkanie zakończyło się pozytywnymi rezultatami sprzyjającymi kontynuacji, umacnianiu i dalszemu rozwojowi ogólnoeuropejskiego procesu. Ich osiągnięcie miałyby niemały wpływ także na stosunki Wschód — Zachód.

Do priorytetów polskiej polityki należy stała sprawa zahamowania wysiłku zbrojeni. Stopień zagrożenia naszego kontynentu dyktuje szczególną troskę o zmniejszenie konfrontacji militarnej w Europie.

Zasadnicze znaczenie w tym względzie mają dziś radziecko-amerykańskie rokowania w sprawie ograniczenia broni jądrowej średniego zasięgu. Ważne propozycje Związku Radzieckiego z grudnia ubiegłego roku mogą przyczynić się do przełamania powstałego impasu. Potrzebne jest również konstruktywne stanowisko Stanów Zjednoczonych, poszanowanie przez nie zasad równości i jednakowego bezpieczeństwa. Pozytywne zakończenie tych rozmów pozwoliłoby zapoczątkować nowemu etapowi wysiłku zbrojeni, stworzyćby warunki dla dalszych działań na rzecz pełnego uwołnienia Europy od broni jądrowej.

Doкладаć będziemy wszelkich starań dla realizacji doniosłych idei dotyczących ograniczenia zbrojeń, wysuniętych w praskiej deklaracji państw Układu Warszawskiego, w tym propozycji eliminacji z obszaru Europy broni chemicznej.

Dużą wagę przywiązuje do toczących się w Wiedniu rokowań w sprawie wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie Środkowej. Znajdują się one, z powodu stanowiska państw NATO, w długotrwałym impasie. Polska będzie wraz z sojusznikami nadal podejmowała zdecydowane działania na rzecz przełamania zastoju, osiągnięcia postępu i rozpoczęcia rzeczywistych kroków rozbrojenia. Istnieją ku temu dobre podstawy. Daje je projekt porozumienia o pierwszym etapie redukcji, przedłożony przez Polskę w imieniu 4 państw socjalistycznych w lutym 1982 roku.

W wyniku wspólnych uzgodnień państwa Układu Warszawskiego zaproponowały w deklaracji praskiej rozpatrzenie możliwości rozpoczęcia procesu redukcyjnego droga podjęcia przez Związek Radziecki i Stany Zjednoczone, na zasadzie wzajemnego przykładu, redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie Środkowej jeszcze przed osiągnięciem formalnego porozumienia w rozmowach wiedeńskich.

Uważamy za konieczne ożywienie i uczynienie bardziej efektywnymi innych rokowań rozbrojenia. Warunkiem ich powodzenia jest uznanie istniejącego układu sił i powstrzymanie się od działań, które stanowiłyby dla niego zagrożenie, rezygnacja z dążenia do jednostronnych korzyści.

Z zainteresowaniem odnosimy się do niedawnej propozycji Szwecji w sprawie utworzenia europejskiej strefy bez tak zwanej broni jądrowej pola walki. Łączy się ona z tradycyjnym zainteresowaniem polskiej polityki zagranicznej opanowaniem ograniczenia zbrojeń jądrowych w Europie. Najbardziej znanym tego wyrazem był Plan Rapskiego, którego 25-lecie obchodziliśmy w ubiegłym roku między innymi na uroczystej sesji Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych.

## UCHWAŁA SEJMU (fragment)

Sejm wzywa parlamenty wszystkich państw, a za ich pośrednictwem narody Europy i świata, do spóldziałania w najważniejszych dla obecnego i przyszłych pokoleń sprawach: obrony pokoju, odprężenia, walki z groźbą nuklearnego konfliktu.

Sejm wyraża gotowość Polski do podjęcia szerokiego dialogu z wszystkimi, bez względu na różnice ustrojowo-polityczne, którzy pragną bronić odprężenia, bezpieczeństwa oraz wzajemnie korzystnej współpracy.

Sejm solidaryzuje się z apelem Rady Najwyższej ZSRR i KC KPZR, przyjętym na wspólnym posiedzeniu z okazji 60-lecia państwa radzieckiego, skierowanym do parlamentów, rządów, partii politycznych i narodów świata.

Propozycje o zasadniczym znaczeniu dla konstruktywnego kształtowania sytuacji międzynarodowej i dla zahamowania tendencji zimnowojennych w świecie, zostały przedstawione w Deklaracji Politycznej Państw-Stron Układu Warszawskiego, przyjętej 5 stycznia 1983 roku na naradzie Doradczego Komitetu Politycznego w Pradze. Wyrażona została w niej gotowość państw-stron Układu Warszawskiego, działania na rzecz powstrzymania procesu pogarszania się sytuacji międzynarodowej, przystąpienia do wszelkich rokowań, które mogą doprowadzić do zahamowania wysiłku zbrojeń i do postępu rozbrojenia.

Szczególnie istotną dla perspektywy światowego pokoju i odprężenia jest propozycja zawarcia układu o wzajemnym wyrecznieniu się stosowania siły militarnej oraz utrzymaniu pokojowych stosunków między państwami należącymi do Układu Warszawskiego i NATO. Sejm udziela tej propozycji zdecydowanego poparcia, uznając ją za niezwykle ważną dla przyszłości Europy i świata.

## Dokończenie ze strony 1

bitych, rannych i zaginionych, a do końca kwietnia 1942 roku ponieśli dalsze straty, wynoszące ponad 400 tys. żołnierzy. Wojska hitlerowskie w tym czasie zostały odrzucone na zachód około 100 do 350 km.

Dlatego Hitler za główny cel operacji wojennych w roku 1942 na froncie radzieckim obrał kierunek południowy. W maju i czerwcu Niemcy zakończyli koncentrację sił i środków przeznaczonych dla letniej ofensywy na południe ZSRR.

Natarcie wojsk niemieckich rozpoczęło się 28 czerwca 1942, przynosząc im w ciągu lipca poważne sukcesy. Potężne siły niemieckie posuwały się naprzód. Jedno skrzydło tych sił zmierzało na wschód ku Stalingradowi i Woldze, drugie minęło Rostów i w połowie sierpnia dotarło do Kaukazu.

We wrześniu nastąpił akt pierwszy dramatu, rozpoczęła się bowiem pierwsza faza bitwy stalingradzkiej, wypiekiona szaleńcami próbami Hitlera zdobyć niezłomnego miasta. 12 września 1942 r. nawiązała walki o miasto niemiecka 4 armia pancerna, uderzająca z rejonu Abganierowa. Obronę Stalingradu przejął 62 armia gen. W. Czujkowa i część 64 armii gen. M. Szumilowa. Uporczywe i zacięte walki obronne w mieście trwały nieprzerwanie do 18 listopada. Po wielokrotnych, nieudanych próbach zdobycia Stalingradu i wyczerpaniu swoich odwodów, dowództwo hitlerowskie zmuszone zostało do zaprzestania akcji ofensywnych i przejścia do obrony również i na tym odłamku frontu.

W tej sytuacji dowództwo radzieckie podejmuje decyzję przeprowadzenia strategicznej operacji zaczepnej, mającej na celu okrążenie i rozbicie wojsk faszystowskich pod Stalingradem. Trwała ona od 19 listopada 1942 roku do 2 lutego 1943 roku. W przeciwnatarciu tym wzięto udział piętnaście armii, szereg samodzielnych korpusów pancernych, zmechanizowanych i kawalerii, brygad i samodzielnych oddziałów liczących 1.005.000 żołnierzy, około 17 tys. dział i moździerzy, około 1400 czołgów i blisko 1300 samolotów. Wojska niemieckie i dywizje państw satelickich liczyły ponad 1 mln żołnierzy. Siły przeciwników w ludziach były wyrównane, natomiast Armia Radziecka uzyskała przewagę w artylerii i czołgach, ale w powietrzu górowali Niemcy.

Skoncentrowane siły radzieckie skierowane zostały przeciw niemieckiej 6 armii i 4 armii pancernej, 8 armii włoskiej, 3 i 4 armii rumuńskiej i 2 armii węgierskiej.

W dniach 19 i 20 listopada 1942 roku wojska radzieckie rozpoczęły natarcie z pozycji położonych na północ i południe od Stalingradu. Główną rolę odegrał Front Południowo-Zachodni gen. N. Watutina. Wykonał on potężne i głębokie uderzenia z przyczółków na prawym brzegu Donu w rejonie Sierafimowicza i Kleckiej. Front Stalingradzki, pod dowództwem gen. A. Jeremienki, nacierał z rejonu jezior Sarpińskich. Zgrupowania uderzeniowe obu frontów miały połączyć się w rejonie Kalacz-Chutorowieckiej i tym samym zamknąć pierścień okrążenia głównych sił niemieckich 6 armii połowej i 4 armii pancernej pod Stalingradem. Na głównych kierunkach przełamania radzieckie dowództwo zapewniło sobie, dzięki umiejętnej koncentracji sił i środków, trzy- i czterokrotną przewagę. To w dużej mierze zadecydowało o losie bitwy. W przeciwnatarciu wzięto udział Frontu Dońskiego, dowodzonego przez gen. K. Rokossowskiego. Miał on za zadanie rozbić wojska niemieckie, zgrupowane w małym łuku Donu.

Wojska Frontu Południowo-Zachodniego wspierane były przez 2 i 17 armię lotniczą gen. K. Smirnowa i gen. S. Krasowskiego. Działania Frontu Dońskiego wspierała 16 armia lotnicza gen. S. Rudenki, natomiast wojska Frontu Stalingradzkiego wspierane były przez 8 armię lotniczą gen. T. Chrinkina.

## NA PÓŁNOC OD STALINGRADU

W wyniku ofensywy radzieckiej pod Stalingradem, wojska Frontu Południowo-Zachodniego gen. Watutina przełamały front niemiecki na północ od Stalingradu i posunęły się około 25 km. Następnego dnia (20.11.) ruszyły do natarcia wojska Frontu Stalingradzkiego gen. Jeremienki. Obrona niemiecka została przełamana na odcinku 20 km. W wyłom ruszyły czołgi i zmotoryzowana piechota. Próby Niemców powstrzymania natarcia nie powiodły się. 23 listopada wojska obu frontów radzieckich po przebyciu w walce 120 km połączyły się w rejonie Kalacz i Sowieckiej, zamykając obręcz wokół wojsk niemieckich. W gigantycznym kotle znalazła się 6 armia niemiecka gen. F. von Paulusa i część 4 armii pancernej, w sumie przeszło 300 tys. żołnierzy.

Próba przerwania pierścienia okrążającego, podjęta w grudniu przez Niemców, nie powiodła się, mimo ściągnięcia przez nich silnych odwodów z innych frontów ZSRR. Utworzona silna grupa uderzeniowa ponad 150 tys. żołnierzy, pod dowództwem feldmarszałka E. von Mansteina, została rozbita przez wojska Frontu Stalingradzkiego, Armia Radziecka przeszła do ofensywy także na Kaukazie i innych odcinkach frontu.

## W OBOZIE WROGA

O tym, co działo się w obozie wroga w czasie przeciwnatarcia wojsk radzieckich, opowiada włoski mjr G. Tolloy:

„18 grudnia, na południe od Boguczaru zamknął się pierścień sił, działających od zachodu i wschodu. Wiele sztabów zaczęło opuszczać dotychczasowe miejsca postoju, tracąc wszelką łączność z wojskami. Oddziały atakowane przez czołgi próbowały ratować się ucieczką... Pozostawiano działa i samochody. Wielu oficerów zrywało z mundurów dystynkcje, szeregowi żołnierze rzucali karabiny i oporządzenie. Wszystkie rodzaje łączności zostały kompletnie zdeorganizowane...”

Dowództwo hitlerowskie usiłowało powstrzymać za wszelką cenę natarcie wojsk radzieckich. Nieprzyjaciel rzucił do walki całe swoje lotnictwo, podciągnął świeże jednostki z innych odcinków frontu radziecko-niemieckiego oraz 8 dywizji z Europy zachodniej. Niemieckie lotnictwo transportowe, ponosząc wielkie straty (tylko w grudniu przeciwnik stracił ponad 700 samolotów bojowych i transportowych), nie było w stanie zabezpieczyć potrzeb okrążonych wojsk. Średnie dobowe zapotrzebowanie wynosiło około 100 ton. Potwierdza to w swoich wspomnieniach ówczesny szef Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych, pisząc:

„Jak wynikało z meldunków, które codziennie przedstawiałem Hitlerowi, tonaż przewożonych samolotami ładunków z reguły wynosił 110 do 120 ton... a najczęściej 6 armia otrzymywała dziennie poniżej 100 ton ładunków. Goering obiecywał Hitlerowi poprawić istniejący stan, jednak warunki okrążonych wojsk ulegały pogorszeniu...”

Później Paulus zeznał, że w ostatnich dniach przed kapitulacją wszyscy generałowie jego armii, w tym także on, otrzymywali po 150 g żołnierze 50 gramów chleba na dobę. Jednak propaganda hitlerowska ukrywała prawdziwą sytuację, jaka panowała wśród okrążonych wojsk. Tych, którzy wykazywali małoduszność, odmawiali walki — rozstrzelano. Wykonano ponad 360 wyroków śmierci na żołnierzach 6 armii.

## OPERACJA „PIERŚCIEŃ”

Końcowy etap bitwy pod Stalingradem stanowiła trwająca od 10 stycznia do 2 lutego 1943 roku operacja pod kryptonimem „Pierścień”, której zadaniem było ostateczne zniszczenie okrążonych wojsk niemieckich. Jednak, aby uniknąć zbędnego przelewu krwi, 8 stycznia dowództwo radzieckie przedstawiło dowództwu okrążonych pod Stalingradem wojsk ultimatum z propozycją zaprzestania bezsensownego oporu i kapitulacji. Proponowano m. in. następujące warunki kapitulacji dowódcy 6 armii niemieckiej, Paulusowi:

1. Wszystkie okrążone wojska niemieckie z Panem i Pańskim sztabem na czele zaprzestają stawiania oporu.
2. W sposób zorganizowany przekazują Pan do naszej dyspozycji

# Operacja „Pierścień”

eaty stan osobowy, uzbrojenie oraz inne mienie wojskowe w stanie nie uszkodzonym.

Gwarantujemy wszystkim oficerom, podoficerom i szeregowym, którzy zaprzestaną oporu, życie i bezpieczeństwo, a po zakończeniu wojny powróć do Niemiec lub według uznania do jakiegokolwiek innego kraju.

Wszyscy żołnierze, którzy złożą broń, będą mieli prawo do noszenia umundurowania, dystynkcji i odznaczeń, a wyżsi oficerowie zachowają także broń białą. Dla wszystkich oficerów, podoficerów i szeregowych, którzy poddadzą się do niewoli, natychmiast zostanie zorganizowane normalne wyżywienie. Wszystkim rannym, chorym i dotkniętym odmrożeniem będzie udzielona pomoc medyczna.”

Doniosłą rolę odegrał wówczas wybitny działacz niemieckiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, Walter Ulbricht oraz niemieccy pisarze-antyfaszyści: Erich Weinert i Willi Bredel. Apelowali oni do żołnierzy 6 armii, aby zaprzestali bezsensownego oporu i złożyli broń. Ten wielkoduszny gest ze strony radzieckiej został odrzucony przez Paulusa, który pozostawał pod bezpośrednimi wpływami Hitlera.

Paulus wcześniej meldował Hitlerowi, że okrążeni żołnierze są wyczerpani walką, doliczają im głód i mróz, i że taki stan jest nie do zniesienia. Kontynuowanie dalszej walki w takich warunkach przekracza ludzkie siły. Hitler, w odpowiedzi Paulusowi, rozkazał:

„Kapitulacja wykluczona. 6 armia spełni swoją historyczną powinność pod Stalingradem, aż do ostatniego żołnierza, po to, by umożliwić rekonstrukcję frontu wschodniego.”

Hitler nie zważał się w ostatniej chwili mianować Paulusa feldmarszałkiem, chcąc w ten sposób kupić sobie lojalność dowódcy, którego żołnierzy z rozmysłem skazał na śmierć.

„Historia nie zna wypadku — powiedział Hitler Jodłowi — żeby niemiecki feldmarszałek dał się wziąć do niewoli.”

Po odrzuceniu radzieckiego ultimatum przez dowództwo niemieckie, 10 stycznia 1943 roku wojska Frontu Dońskiego gen. K. Rokossowskiego, po silnym przygotowaniu artyleryjskim przeszły do natarcia, aby rozciąć niemieckie zgrupowanie i zniszczyć poszczególne jego części.

Dowódca 6 armii połowej 24 stycznia meldował Naczelnemu Dowództwu Wehrmachtu:

„Zalamanie nieuniknione. Dla ratowania pozostałych jeszcze przy życiu żołnierzy, armia prosi o wyrażenie zgody na natychmiastową kapitulację.”

Prośba ponownie została odrzucona.



Foto: Archiwum

Wieczorem 25 stycznia rejon okrążenia nie przekraczał już 100 km kw. Wojska niemieckie ściśnięto na małym obszarze, którego długość z północy na południe wynosiła 20 km, a szerokość z zachodu na wschód — 3,5 km. Od 10 do 25 stycznia 6 armia straciła ponad 100 tys. ludzi (zabitych, rannych i wziętych do niewoli), jednak nadal kontynuowała zacięty opór.

## 2 LUTEGO 1943 ROKU,

o godz. 16.00, rozległy się ostatnie strzały historycznej bitwy nad Wołgą. Nastąpiła pełna likwidacja okrążonych wojsk wroga, działania bojowe w mieście Stalingradzie i w rejonie Stalingradu całkowicie ucichły.

W czasie trwającej 200 dni i nocy gigantycznej bitwy, blok faszystowski stracił czwartą część sił działających wówczas na froncie radziecko-niemieckim. Ogólne straty wroga sięgały ponad 1,5 mln żołnierzy zabitych, rannych, wziętych do niewoli i zaginionych bez wieści. Straty wojsk hitlerowskich pod Stalingradem, od 19 listopada 1942 r. do 2 lutego 1943 r. wyniosły ponad 800 tys. ludzi, prawie 2 tys. czołgów i dział pancernych, ponad 10 tys. dział i moździerzy, około 3 tys. samolotów bojowych i transportowych oraz ponad 70 tys. samochodów różnych typów. Wehrmacht bezpowrotnie stracił 32 dywizje i 3 brygady, a 16 dywizji poniosło ciężkie straty. Tylko w czasie likwidowania okrążonego pod Stalingradem zgrupowania, od 10 stycznia do 2 lutego 1943 r. rozbito 22 dywizje niemieckie. Wojska Frontu Dońskiego w tym okresie wzięły do niewoli ponad 91 tys. żołnierzy, w tym ponad 2.500 oficerów i 24 generałów, na czele z Paulusem. Na polach walki po likwidacji okrążonego zgrupowania niemieckiego zabrano i pożrebrano około 140 tys. zabitych żołnierzy faszystowskich.

Wspaniały czyn oręza radzieckiego żołnierza pod Stalingradem po wsze czasy zostanie zachowany w pamięci ludzkości. Tu, pod murami legendarnego Miasta-Bohatera, osiągnięto historyczne zwycięstwo na skalę globalną, które przechyliło szalę zwycięstwa w II wojnie światowej na korzyść narodów i państw koalicji antyfaszystowskiej. Cały świat z zapartym tchem śledził przebieg bitwy nad Wołgą: w Waszyngtonie i w Londynie, w Paryżu i Belgradzie, w Berlinie i Rzymie — wszędzie ludzie odczuwali i rozumiejąc, że tam decyduje się ostateczny wynik wojny.

Po bitwie nad Wołgą wojna trwała jeszcze ponad dwa lata. Trzeba było jeszcze wiele doświadczyć i wiele dokonać.

W adresowanym do Stalina liście, doręczonym 5 lutego 1943 r., prezydent Stanów Zjednoczonych, F. Roosevelt nazwał bitwę stalingradzką epopeją walki, której ostateczny wynik świętują wszyscy Amerykanie. Później przysłał do Stalingradu orędzie następującej treści:

„W imieniu narodu Stanów Zjednoczonych wręczam to orędzie miastu Stalingradowi, aby podkreślić nasz podziw dla jego męźnych obrońców, których odwaga, siła ducha i ofiarność podczas oblężenia od 13 września 1942 r. do 31 stycznia 1943 r. będą wiecznie krzepić serca wszystkich wolnych narodów...”

Premier Wielkiej Brytanii, W. Churchill, w liście do Stalina, nazwał zwycięstwo Armii Radzieckiej pod Stalingradem wydarzeniem zadziwiającym. Natomiast król Wielkiej Brytanii przysłał w darze dla Stalingradu miecz, na którego brzoście wygrawerowano napis w języku rosyjskim i angielskim:

„Obywatelom Stalingradu, mocnym jak stal — od króla Jerzego VI w dowód głębokiego podziwu narodu brytyjskiego”.

Znany amerykański astronauta, D. Slayton, uczestnik II wojny światowej, wspomina:

„Kiedy hitlerowcy kapitulowali, nasz entuzjazm nie miał granic. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że to jest zasadniczy zwrot w toczącej się wojnie, że to początek końca faszyzmu...”

Występując 9 lutego 1943 roku przed mikrofonami radia moskiewskiego, wybitny francuski pisarz-antyfaszysta, Jean-Richard Bloch, mówił:

„Stuchajcie paryżanie! Pierwsze trzy dywizje niemieckie (100, 113 i 295), które wtargnęły do Paryża w czerwcu 1940 roku — już nie istnieją! Zostały zniszczone pod Stalingradem: Rosjanie pomścili Paryż!”

Nawet byli hitlerowscy generałowie musieli przyznać ogromne, wojskowo-polityczne znaczenie tego wydarzenia. Doerf, bezpośredni uczestnik bitwy stalingradzkiej, pisał:

„Bitwa pod Stalingradem stanowiła dla Niemiec jedną z najcięższych klęsk w historii, a dla Rosji największe zwycięstwo. Pod Półtawą (1709 r.) Rosja uzyskała prawo do miana wielkiego mocarstwa europejskiego. Stalingrad zaś stał się początkiem jej przystąpienia do jednego z dwóch największych mocarstw świata”.

## PO STALINGRADZKIEJ BITWIE

Po katastrofie stalingradzkiej zupełnie zmieniła się sytuacja państw bloku faszystowskiego — straciły one całkowicie nadzieję na zwycięstwo nad Związkiem Radzieckim. Hitler na odprawie wyższej kadry dowódczej Wehrmachtu w lutym 1943 r. oświadczył:

„Raz na zawsze straciliśmy możliwość zakończenia wojny na Wschodzie za pomocą natarcia”.

Szef Zarządu Gospodarki Wojennej i Uzbrojenia OKW, gen. G. Thomas, twierdził, że straty Niemców w sprzeczce bojowym tylko w wyniku „stalingradzkiej katastrofy” równały się ilości sprzętu bojowego czterdziestu pięciu dywizji wszystkich rodzajów wojsk i były równe stratom poniesionym w ciągu całego poprzedniego okresu walk na froncie radziecko-niemieckim.

Wielka porażka niemieckich wojsk stanowiła ogromny wstrząs moralno-polityczny dla całej hitlerowskiej Rzeszy, zwłaszcza, gdy stały się znane rozmiary tej katastrofy, które przez długi czas były starannie przemilczane przez goebbelsowską propagandę. Hitlerowski gen. H. Buttler, oceniając skutki klęski wojsk niemieckich pod Stalingradem, pisał, że:

„Niemcy nie tylko przegrały bitwę i utraciły doświadczoną w walkach armię, lecz utraciły też tę chwałę, którą zdobyły na początku wojny i która zaczęła już gasnąć w czasie walk pod Moskwą, zimą 1941 roku. Była to więc strata, która w najbliższym czasie musiała wyjątkowo ujemnie wpłynąć na cały przebieg wojny i przede wszystkim zachwiać pozycję Niemiec na forum międzynarodowym”.

W Niemczech panowała trzydniowa żałoba narodowa, rozciągnięta również na pozostałe kraje bloku faszystowskiego. Zamknięto wszystkie lokale rozrywkowe, kina, teatry na czas od 4 do 6 lutego włącznie. Z miast i wsi niemieckich dochodziły jedynie żałobne dźwięki dzwonów kościelnych, wtórujące rozpaczliwym, którzy już nigdy nie doczekają się powrotu swych najbliższych.

„Klęska pod Stalingradem — jak pisał gen. Westphal — wywołała przerażenie zarówno narodu niemieckiego, jak i jego armii. Nigdy przedtem, w całej historii Niemiec, nie doszło do tak straszliwej zagłady tak wielkiej liczby wojsk”.

Zwycięstwa pod Midway, pod El Alamejn, w rejonie Guadalcanal, które miały ważny wpływ na zmianę sytuacji strategicznej na poszczególnych teatrach działań wojennych, nie mogły się równać bitwie stalingradzkiej. Waga zwycięstwa pod Stalingradem polegała na tym, że zmieniło ono nie tylko sytuację strategiczną, ale cały bieg wojny i rozmieszczenie sił w świecie, umocniło wiarę postępowych sił całego świata w nieuchronność klęski faszyzmu.

HENRYK DOBIEGAŁA

## KTÓRĘDY DO PRZODU?

# Którędy do tyłu?

Tyż jest niemodny. I wszystko co kojarzy się z odwrotem, cofaniem, regresem, wstępnictwem. Stąd żadna z orientacji nie przyznaje się do tego, że jej projekty naprawy Rzeczypospolitej mają „tylowy” charakter. Każda propaguje je jako przodujące i postępowe.

A przecież są wśród tych projektów i orientacji przeciwnieństwa tak znaczne, że wykluczające się wzajemnie, biegunowo odmienne, zmierzające do popchnięcia Polski i Polaków w skrajnie różnych kierunkach.

Poszukiwanie dróg wyjścia z powtarzalnych w Polsce kryzysowych zaplątań, autentycznie postępowych, wiodących „do przodu” nakłada zatem konieczność zdefiniowania, co jest przodem, a co tyłem. Zdemistyfikowania orientacji stojących się w postępowe szaty, będących jednak w istocie wstępnymi.

W obrębie sił deklarujących się jako prosocjalistyczne ujawniły się dwie orientacje o jasnym „tylowym” charakterze. Pierwsza — pretendująca do miana lewicy, będąca jednak w istocie „lewicą” w dokładnie minionym, stalinowskim rozumieniu. Druga zaś uzurpującą sobie miano orientacji światłej, wolnej od ideologicznych obciążeń, prezentująca „światłość” w zdroworozsądkowym, pragmatycznym sensie.

Zwolennicy orientacji pierwszej — nie tyle lewicowej, co lewacko-konserwatywnej — wyróżniają się tym, że jako podstawowe remedium na wypaczenia socjalizmu serwują środki sprowadzające się do wymuszania zgodności praktyki z ideą za pomocą przemocowych sił i metod. Dopuszczalność takich rozwiązań usprawiedliwiają — niczym w chrześcijańskiej idei przechodzenia przez czyszcenie do nieba — korzystnością oczekiwanych efektów takich przekształceń. Konieczność zaś wyboru tej właśnie drogi, nieprzejmiennej bezspornie, motywują zazwyczaj zwolennicy tegoż tym, iż materia społeczna jest u nas niedoskonała — niezdolna do rozumienia i realizowania przeobrażeń socjalistycznych, winna więc taki kierunek rozwoju wymuszać świadoma i zorganizowana mniejszość. Masy pracujące są bowiem jakoby niedostatecznie dojrzałe, by zrozumieć co dla nich dobre, podatne na wpływy wewnętrznych i zewnętrznych przeciwników socjalizmu. Stąd konieczność osłaniania tychże mas przed szkodliwymi wpływami — niczym dzieci przed demoralizacją, i zmuszania ich do działań nawet nie chętnych, lecz korzystnych dlań w perspektywie. Gwoli zaś zyskania doraźnego poparcia niedostatecznie rozumnych mas, wysuwane są hasła populistyczne, odwołujące się do żywotnych — w najniższej świadomości odłamach testos — do egalitaryzacji w „urawniłowkowym” wydaniu oraz do animozji wobec wszelkiej prywatnej przedsiębiorczości, z doraźnie użyteczną i niezbędną włącznie.

Tak więc, orientacja ta w istocie stanowi socjalistyczną wersję ortodoksji pojmovanej w oderwaniu od „realiów”, których istotę ujmuje najtrafniej hasło „cel uświęca środki”. To totalne samorozgrzeszenie sprawia, że rzecznicy tego nurtu traktują jako wrogów, których należy bezwzględnie zwalczać,

nie tylko i nawet nie głównie przeciwników socjalizmu, ale i zwolenników innych, bardziej uniarkowanych dróg realizacji socjalistycznych przeobrażeń.

Dotychczasowe doświadczenia ruchu robotniczego dowodzą, że kiedykolwiek ta właśnie orientacja stawała się panującą, nie dochodziło bynajmniej do uzgodnienia praktyki z ideą socjalizmu, ale z reguły do kompromitowania tego ustroju, osłabiania jego żywotnych sił i konieczności kurowania ruchu z bolesnych ran, zaś idei z raziących zniekształceń.

Współczesne polskie przejawy tej orientacji cechują się — oprócz zgodności z powyższymi ogólnymi właściwościami konserwatywnego lewactwa — pewnymi specyficznymi cechami. Główną z nich jest dominacja defensywnego organizowania się w obronie socjalizmu przed wszelkimi zmianami — tak kontrrewolucyjnymi, jak i zgodnymi z marksizmem niezbędnymi modyfikacjami, przy absolutnym braku pozytywnych, ofensywnych propozycji programowych pomocnych w modernizacji systemu, a zatem i jednocześnie szerszych kręgów społecznych.

Stanowisko tego typu wynika z upatrywania głównego zła w omnipotencji ośrodków antysocjalistycznych, nieuwzględniania zaś, że to właśnie słabość socjalizmu, wynikające z anachronicznych sposobów organizowania życia politycznego i gospodarczego, stwarzały pole dla ukrytej i otwartej kontrrewolucji. Nie ma więc w istocie innych skutecznych dróg naprawy polskiego socjalizmu, i zminimalizowania wpływów przeciwnika, jak gruntowna modernizacja naszego systemu ekonomicznego i politycznego odpowiednio do wymogów jakościowo nowej sytuacji.

Szczyściem w naszym polskim współczesnym nieszczęściu jest to, iż orientacja na wymuszanie jest zbyt słaba, by zapanować nad partią, państwem, a zatem i społeczeństwem. Z tej słabości wywodzi się właściwa dla zwolenników tego nurtu skłonność do prowokowania napięć — zwalczania wszystkiego, co sprzyja uspokojeniu nastrojów, jednoczeniu działań, przewycięzaniu sprężności negocjacyjnymi i kompromisowymi metodami. Stąd i głównym sposobem przewycięzania tego nurtu — bezpłodnego w sensie teoretycznym, zaś szkodliwego w praktycznym — może i musi być umacnianie wpływów i skuteczności sił poszukujących trafniejszych metod kojarzenia naszej praktyki z socjalistyczną ideą.

Nie stwarza takiej alternatywy druga z analizowanych tu orientacji, zakładająca możliwość i celowość rezygnowania z istotnych elementów idei socjalistycznej. Rzecznicy tejże, znanej z przeszłości ruchu robotniczego i ożywionej na skutek kryzysu, zakładają, że przyczyną kłopotów polskiego socjalizmu jest utopijność, nie-realność istotnych elementów zasad organizacyjnych socjalistycznej formacji. Ich zdaniem, to właśnie przesadnie konsekwentna dążność do wcielenia idei w praktykę jest źródłem zła. Trzeba więc przewycięzając ten mankament w sposób nadzwyczaj prosty — rewidowaniem założeń socjalizmu naukowego i zastępowaniem właściwych dlań prawidłowości rozwoju społecznego — twierdzące

niemi o bardziej pragmatycznym charakterze.

Tradycje tego nurtu, zwanego potocznie rewizjonistycznym, świadczą dowodnie, że aczkolwiek zaczyna on od rezygnowania z socjalistycznych metod kształtowania stosunków społecznych, to dość szybko dochodzi i do wyzywania się właściwych dla tego ustroju celów i wartości. Adaptacje tej orientacji w społeczeństwach, które zapoczątkowały już socjalistyczne przeobrażenia skłaniają do „postępu wstecz” — przewycięzania tego, co partackie i niedoskonałe w nowym ustroju za pomocą bezkrytycznych zapożyczeń celów i metod właściwych dla starego.

Upowszechnianiu się takich skłonności we współczesnej Polsce sprzyja w istotnej mierze fakt, iż dokonująca się w minionej dekadzie konwergencja — szerokie zapożyczenie idei, metod, środków od kapitalistycznego Zachodu — stworzyła grupy społeczne zainteresowane w kontynuacji takichże zmian i powiązań. Objawia się to w próbach przemilczenia konwergencyjnych przyczyn naszego kryzysu, a zarazem traktowania jako głównych remediów bardziej otwartego i szerokiego niż uprzednio czerpania doświadczeń z kapitalizmu. I nie w sensie taktycznym, wzorowanym na leninowskiej Nowej Ekonomicznej Polityce, ale strategicznym — interpretowania tegoż jako trwałego rezygnowania z istotnych założeń socjalizmu.

Aczkolwiek obydwie zaprezentowane tu orientacje wrogo się do siebie odnoszą, ich wspólnym mianownikiem jest to, iż ich projekty naprawy Rzeczypospolitej mają wstępną charakter. Jeśli można tu mówić o lewicy czy prawicy — to tylko w sensie konserwatywnym, wstępnym.

Nie jest to jedyne podobieństwo tych ekstremów. Cechuje je także prostacko projektów rozwiązań złożonych zadań naszej współczesności. Postęp, każdy, a więc i społeczny, to kształtowanie coraz bardziej złożonych funkcjonalnych całości. Lepiej uwzględniających przez złożoność różnicowanie potrzeb i możliwości wielu sił składających się na społeczeństwo socjalistyczne. Zarówno lewacy, jak i — nazwijmy per analogiam — prawacy serwują zaś rozwiązania z reguły zarówno prostackie, jak i stare. Nic nie trzeba, ich zdaniem, wymyślać, wypracowywać, doskonalić. Wystarczy sięgnąć do sposobów znanych z przeszłości socjalizmu bądź kapitalizmu i potraktować je jako ponadczasowo doskonałe i skuteczne.

Stąd tak lewactwo, jak i prawactwo — to w istocie prostacko. Spychanie w bliższy bądź dalszy tył, przeszłość, miast niezbędnego postępu. I dlatego trzeba zwalczać i kompromitować tego typu projekty i orientacje. Ujawniać, że ich postępowość jest pozorna, bowiem w rzeczywistości tak jedna jak i druga prowadzą do tyłu.

MARIUSZ GULCZYŃSKI

## Dokończenie ze strony 1

„Wólczańki”! Miasto ogarnęła euforia. Co prawda nikt dokładnie nie wie, ale ludzie oielgrzymują na plac robot, wypytują robotników. Ktoś mówi, że nie będzie przyjeżdżać ktoś inny, że zatrudnią ponad tysiąc ludzi. Z miasta wieść przenosi się do wiosek dalszych i tych zupełnie odległych. Kobiety pokonują nieraz dwudziestokilometrowe odległości, by dowiedzieć się czy znajdzie się dla nich miejsce. Do Łasku zaczęły ścigać młode dziewczyny z innych województw.

Jest rok 1964. Dopiero postawiono jedną halę, jeszcze nie ma podłóg, nie są wstawione maszyny, wszędzie gruz, po deszczu teren zamienia się w zawiesziste blocko, nie ma dróg ani ścieżek, a ludzie już przychodzą, już się ucza. Dziś, dla odwieczających „Wólczańki”, wszystko jest proste: dojazd, usytuowanie wśród innych zakładów (Łódzkie Fabryki Mebli, przedsiębiorstwo drogowe, nowy Zespółny Szpital Wojewódzki, Szkoła Budowlana, budynek z biurami Urzędu Miasta i Gminy, nawet wytyczono ulicę: Przemysłowa). Ale dwadzieścia lat temu...

Zgłaszały się kobiety, o których mówiło się „krawcowa”, bo na prywatny użytek i dla znajomych szyły w domu sukienki i bluzki; przyszły dziewczyny, co dotąd nie oglądały zwyczajnej maszyny do szycia. Przyszły bo to była ich szansa. Może jedyna i najlepsza. I zaraz zaczęto mówić, że w „Wólczańce” pracują ładne panienki, że nie można ozu oderwać... Miejscowi kawalerowie szybko sprawdzili te informacje. Rzeczywiście: dziewczyny jak się patrzy!

# Ballada o pięknych dziewczynach

Wspomina JADWIGA RZANEK: Pierwszego września 1964 roku wzięto cztery osoby na przeszkolenie. Wśród nich i mnie. I to był początek „Wólczańki”. Zakład jeszcze był w budowie, jeszcze stały gale ściany, a my już zaczęliśmy przyjeżdżać pracownic. Początkowo było ich 300. Od 15 października zaczęliśmy szkolić szwaczki, pomagały w tym mistrzowie z Łódzkiej „Wólczańki”. Było sporo nieporozumień, dziewczyny prawie się zamykowały, bo okazywało się, że ta czy inna w swojej wsi uchodziła za dobrą krawcową, a tu trzeba zaczynać od początku, uczyć się od nowa. Bo dotychczasowe umiejętności nie wystarczały. Wie pan, przez parę tygodni to one szły wszystkie w ministerstwo: małe koszulki, kołnierzyki, mankiety itp. Trwało to aż do stycznia 65.

Oficjalnie otworcie nastąpiło w rocznicę wyzwolenia Łasku, 20 stycznia 1965 roku.

Początkowo szliśmy tylko na rynek wewnętrzny. Później nasze wyroby zaczął brać Związek Radziecki. Tak było przez kilka pierwszych lat. Dopiero w latach 70-tych przyjeźliśmy pierwsze zamówienia z Zachodu. I to zadecydowało o naszej dalszej pracy. Musielismy szyć dobrze, bo tych zamówień przychodziło coraz więcej, aż przestawiliśmy się całkowicie na eksport do krajów kł.

Pierwsze lata były trudne, ale jakoś nie pamiętam ich źle. Prawda, nie było tu właściwie nic: ani dróg, ani nawet ścieżek, nie było biurowca, administracja mieściła się w baraku po ekipie budowlanej, nie było szybkoobrotowych maszyn. Był natomiast niebawym entuzjazm, ludzie tłoczyli się przed kadrami. A dziś? Dziś więcej od nas odchodzi, niż przyjmujemy. Pewnie, dziewczyna wyszłona w „Wólczańce” umie wiele, prywatny wytwórca mający boutique zapłaci jej dużo więcej niż my. To prawo rynku. Tylko niekiedy jest mi żal, że przecież to my ich tu uczymy, w naszej szkółce przyzakładowej, a one tak lekko nas zostawiają...

Wspomina FRANCISZEK KLUBA: Do Łaskiej „Wólczańki” zostałam, że tak powiem, oddelegowana przez dyrekcję z Łodzi, a pracowałam w państwowej „Pali”, która podlegała łódzkiej dyrekcji. Myślałam, że to na kilka miesięcy, a okazało się, że dołączam tu emeryturę. Ale to lepiej, bo przecież jestem łaskowianką, tu się urodziłam i tu mieszkam. Zaczęliśmy od szkolenia, a po zajęciach myśliśmy szyć, usuał gruz, sprzątałimy podłogi. Teraz, z perspektywy tych lat, widzę, że każda kobieta czy dziewczyna, która tu pracowała lub pracuje, wyszła pod moją reki. Dziś także prowadzę szkołkę, przygotowuję do zawodu. Pyta pan, co mi zostało z tamtych pierwszych lat? Droga. Tak, droga, która zbudowaliśmy społecznie własnymi siłami, żeby ludzie nasi nie toneli w błocie.

Jestem starym związkowcem, działam też w egzekutywie. W nowych związkach mamy już 120 osób, jesteśmy zarejestrowani. Jutro wybieramy władze. Ale muszę powiedzieć, że ludzie jakby wycofali się, nie garną się do nas. Młode dziewczyny mówią, że już wszystko mają za sobą, przeżyły życie i niczego nie oczekują. A oś ty przeżyłam, mówię, skoro masz dopiero 30 lat? Ja, owszem, w tym zawodzie tkwię już 35 lat, więc mogę powiedzieć, że naprawdę coś w życiu przeszedłam. A ty? Stawiasz pierwsze kroki i już ci się zdaje, że nie masz nic do zdobycia. I tak rozmawiam z nimi, tłumaczę, wyjaśniam. Nie, nie proponujemy efektywnych rozwiązań, ale rzetelność, uczciwość, prawdość. To tylko niesławnej pamięci „Solidarność” szafowała hasłami bez pokrycia.

Wspomniałam, że jestem członkiem egzekutywy. Z naszej organizacji partyjnej została nas połowa. Może to i lepiej, bo przecież nie ilość, ale jakość decyduje o roli partii w naszym życiu. Ode-

zili od nas tzw. kibice partyjni, ludzie przypadkowi, ludzie nam obcy ideologicznie. Niekiedy sami, niektórym my usunęliśmy. Dziś pracujemy nad odbudową autorytetu partii, choć zdajemy sobie sprawę z tego, że czeka nas żmudna praca. W latach szalejącej anarchii, kiedy na porządku dziennym było zastraszanie, ja się nie bałam. Ja tu miałam większy autorytet od każdego z „Solidarności”. Bo mi ludzie wierzyli, przecież byłam tu z nimi od początku i robiłam wszystko, by te kobiety miały jak najlepiej i by umiały jak najlepiej. Owszem, były strajki, ale ja nie chodziłam na te ich zebrania, ja zostawałam na sali. Wiele kobiet też miało tego dość, niektóre mówiły, że się boją więc idą, bo na takie zebrania przyjeżdżali spęce z MKZ z Łodzi i dawaj z krzykiem na te kobiety, że jak nie przystąpią do strajku, to marny ich będzie los. Więc szły, choć nie zawsze wiedziały o co w tym wszystkim chodzi. Po co, mówię, do jednej czy drugiej, ten cały strajk? Przecież komu strajkujesz? Panie majster, płały, omi powiedzieli, że mnie zniszczą. Ja się boję, panie majster. Tak to było. Dziś często, kiedy spotykamy się na cotygodniowych naradach: przyznają: miał pan rację, panie majster, że robiliśmy, że wtedy nie usłuchałyśmy pana.

Tyle mi rozmówcy, najstarsi pracownicy „Wólczańki”, którzy ja tworzyli i wraz z nią wstali w krajobraz miasta.

Gdy ukaże się ten artykuł, nowy związek zawodowy będzie miał już swoje władze. Rozmawiając z ludźmi, pytałem jak przebiegał proces oddawania się życia związkowego. Prawie wszyscy twierdzili, że sprawa nie była łatwa, większość założyła nadal zachowuje rezerwy, przygląda się, stroni od rozmów. Może jest to wynikiem zawodu, jaki spotkał ich po spontanicznym akcesie do „Solidarności”? Przecież, mówią, tamci także cięgi le obcywali, a nie dla nas nie zrobili. Przez półtora roku zdzierali gardła, agitowali, mówili o złoty ch zrach. Pewnie przez następne półtora było o prywatę, o władzę. Kto więc nam dziś zaręczy, że nowy związek jest inny? Nie mamy więc co się spieszyć, my popatrzmy nań z boku, a jak okaże się, że to porządna organizacja, to czemu nie.

Grupa inicjatywna, która zajęła się przygotowaniem statutu i pracami związanymi z rejestracją nowego związku liczyła 15 osób. Przeglądając listę z nazwiskami, rzuciła się w oczy fakt, że są w niej reprezentanci Łasku, Kolumny, Zelowa, Czeskowskiej, Wronowie, Lulejowa, Orchowa i Zdunskiej Woli. Wśród tej piątnastki jest Wanda Motyl. Czyżby to ta sama Wanda, z którą chodziłam razem do szkoły powszechnej w latach czterdziestych? Przeczam za ten osobisty wstępn, ale wspomnienia są czasem silniejsze od nas samych. Zresztą jest to przecież ballada o pięknych dziewczynach, a w balladzie jest miejsce na dygresję.

Tak więc 120-osobowy związek zaczął swoją działalność. „Wólczańka”, jak wspominałam, szły na rynek drugiego obszaru płatniczego. Zdobowią potrzebne krajowi dewizy. Składają tu zamówienia firmy z RFN, Anglii, Holandii, Irlandii, Finlandii i Libanu. Kiedy przegląda się tzw. „Złota księga” są w niej zapisy w różnych językach: obok hieroglifów arabskich są życzenia dla szwaczek napisane po francusku, rosyjsku, czesku, rumuńsku i grecku, nie wspominając życzeń złożonych przez aktualnych kontrahentów.

Na zakończenie chce oddać głos szefowi łaskiej „Wólczańki” mgr IRENEUSZOWI KRAWCZYKOWI.

— Proszę powiedzieć: ile zatrudnia pan ludzi?

— Coraz mniej. Dziś mam 748 osób, ale jutro może ta liczba poważnie się zmniejszyć. Kobiety odchodzą. Z różnych przyczyn: znajdują lepsze płatne miejsca w prywatnych warsztatach, korzystają z urlopow macierzyńskich lub biorą tzw. urlopy opiekuńcze.

— Ile kosztów potrafi uszyć jedna szwaczka w ciągu roku?

— 3.300.

— Czy rok bieżący będzie zatem lepszy dla „Wólczańki” od minionego?

— Prawda polega na tym, że my nie możemy planować. Tu nie można ustalić produkcji, opracować harmonogram i potem jedynie pilnować, by wszystko odbywało się według założeń. My musimy liczyć się z tym, że nagle na kilka tygodni przed jakimś świętem przyjeździe właściciel zachodniej firmy, z którą utrzymujemy kontakty, i zechce zamówić u nas partię koszul o modnym, obowiązującym akurat w jego kraju, fasonie.

— Może posłuży się pan konkretnymi. Proszę zastawić wykonanie z roku ubiegłego z przewidywaniami na ten rok.

— W 1982 roku wyprodukowaliśmy 1.240.000 sztuk koszul. Natomiast obecny rok będzie nieco zaniżony i przewidujemy wykonanie jedynie w ilości 1.191.500 sztuk. Wiąże się to z niższym zatrudnieniem, czyli mówiąc inaczej, z brakiem rąk do pracy.

— Czy z tych ilości trafił eokolwiek do naszych krajowych sklepów?

— Niewiele. Jakies pół miliona sztuk, nie więcej.

— Po ile pan ceni swoje koszule, jeśli je pan wstawia do sklepów krajowych?

— Ogólnie rzecz biorąc i gatunek kształtuje się w granicach 700 zł.

— Nie mógłby więc pan tych swoich koszul odstawiać do naszych sklepów w większych ilościach? Powiedzmy, zamiast pół miliona, półtora a nawet dwa?

— Sprawa znów się komplikuje. W większości nasi kontrahenci zagraniczni wprost żądają, by dla nich szyla „Wólczańka” w Łasku. Dla odbiorców krajowych szyla nasze inne zakłady.

I tak ballada o pięknych dziewczynach zbliża się ku końcowi. Że są piękne — wystarczy stanąć przed zakładem na styku zmian. Moja ballada opiewa nieprzemijające piękno łaskiej pracy, rzetelność rąk i racjonalizm myślenia.

Wydaje się, że „Wólczańka” była w Łasku zawsze, że ze starych dzielnic, z nowych osiedli, z okolicznych wiosek zawsze ciągnęły wzdłuż trasy E12, zaszanieczonymi polami, wysokim wałem przeciwpowodziowemu grupki zbieżnych kobiet, niosących resztkę snu pod powiekami. Takie same grupki przed północą suną w kierunku odwrotnym, spieszą w stronę miasta, przebiegają w popłochu obok cmentarnego muru. I dopiero wówczas gasną światła „Wólczańki”, a rzadki gość, cisza, na kilka godzin wypełnia puste hale.

EUGENIUSZ IWANICKI

1.

Jedną z najbardziej przydatnych kategorii analizy losów narodu jest „pokolenie”. Pod pojęciem tym rozumiemy zbiorowość ukształtowaną w podobnych okolicznościach historycznych, posiadającą analogiczne doświadczenia życiowe i specyficzne wzory zachowań. Pokolenie stanowi zatem „produkt” swoistych warunków socjalizacji i wychowania, a równocześnie jest „podmiotem” procesu dziejowego. Według przysłowia arabskiego ludzie podobniejsi są do swoich czasów niż własnych ojców.

W naszym społeczeństwie można wyodrębnić pięć zasadniczych pokoleń. Najstarsze z nich obejmuje osoby urodzone i ukształtowane jeszcze w okresie rozbiorów, a obecnie liczące ponad 75 lat. Następnym jest pokolenie „kolumbów”, czyli żołnierzy i partyzantów. Ludzie ci wychowali się w Polsce międzywojennej, dziś zaś mają około 55-75 lat. Kolejną kategorię nazywamy umownie „pokoleniem ZMP i SP”, ale zaliczamy tu także rówieśników ZWM oraz częściowo ZMS — ludzi uformowanych w burzliwych latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Czwartą generację stanowi młodzież, której postawy wykształciły się w spokojniejszych czasach „małej stabilizacji” i lat siedemdziesiątych. I wreszcie ostatnie pokolenie tworzą dzie-

Ironia i okrucieństwo losu sprawiły, że każde z dorosłych pokoleń jest w pewnym sensie przegrane i może mieć poczucie klęski życiowej. Pierwsze tworzyły podstawy niepodległej II Rzeczypospolitej, która przetrwała zaledwie 21 lat. Drugie — wraz z ojcami — odbudowało kraj ze zniszczeń wojennych i stworzyło podwaliny Polski przemysłowej, a teraz wystaje w kolejkach i najboleśniej chyba doświadcza kryzysu. Z kolei byli ZMP-owcy poświęcili młodość budowie socjalizmu, oczekiwali się zaś niedawno totalnego zanegowania dorobku Polski Ludowej. Natomiast współczesna młodzież niewiele jeszcze zdołała zrobić dla kraju, a już w znacznej części doznała frustracji — odbierając jako własną porażkę wprowadzenie stanu wojennego. Cała ta seria pokoleniowych niepowodzeń ma duże znaczenie właśnie w Polsce, gdyż naród nasz lubi rozpamiętywać rany, uchodzić za „Chrystusa narodów” i zaczynać wszystko od początku. Szczególnie odnosi się to do inteligencji. W rok po zakończeniu II wojny światowej Józef Chłasiński zwracał uwagę, że „u nas każde pokolenie inteligencji rozpoczyna pracę od nowa i zawsze w ten sam sposób”.

2.

Przedmiotem mojego artykułu są wartości i postawy pokolenia młodzieży. Jest to kategoria społeczno-demograficzna skupiająca osoby głównie w wieku od 15 do 29 lat. W tym przedziale wieku znajduje się 9 mln 219 tysięcy osób, co stanowi dokładnie jedną czwartą ludności Polski. Od ich woli i orientacji życiowych zależy przyszłość kraju. Warto więc wiedzieć, jakie mają poglądy i odczucia oraz do czego przede wszystkim dążą.

Zanim jednak przystąpię do opisu postaw tego pokolenia, najpierw scharakteryżuję warunki, w jakich przebiegała jego socjalizacja. Otóż najważniejsze moim zdaniem znaczenie miało pięć następujących okoliczności. Najpierw trzeba odnotować fakt, że urodził się oni wiele lat po wojnie, dojrzewali w atmosferze pokoju i odprężenia oraz wręcz niewiary w możliwość nowej wojny. Po drugie — wyrastali w klimacie wartości neomieszkańskich. Renesans kultury mieszczańskiej pojawia się zazwyczaj w tych krajach, gdzie wielkie masy ludzi w krótkim czasie awansowały społecznie. I w zasadzie nie ma na to rady. Istotą osobowości drobnomieszczanina najlepiej bodaj wyraził Karol Marks, pisząc, że składa on się z „jednej strony” i z „drugiej strony”, zaś ideał waha się między lewicą a prawicą. Na takim podłożu psychospołecznym nie utrzyma się trwale żadna spójna teoria czy ideologia.

W okresie powojennym miał miejsce szybki i duży awans społeczno-moralny ludności wiejskiej oraz klasy robotniczej. Najwięcej jednak w Polsce Ludowej zyskały dwie grupy: dzieci i młodzież. Rodzice i dziadkowie postanowili bowiem dać swym pociechom to, czego sami w młodości nie mieli. Powstał więc cały system dawania i stawiania niskich wymagań. Na każdym kroku ułatwiano i oszczędzono im życie. Oczekiwano zaś w zasadzie tylko jednego — autentycznej lub chociaż udanej — wdzięczności. W ten sposób przyzwyczajano młode pokolenie do bezwarunkowego brania i grymaszenia, a nie nauczone — jak powiedziałby Aleksander Kamiński — radości dawania.

Ta powszechna pedagogika szczęścia w wielu przypadkach przyniosła negatywne rezultaty. Rozpieszczone dzieci często nie potrafią nawet uszanować własnych rodziców, a co dopiero obcych ludzi. Zjawisko to znają także inne kraje socjalistyczne. W powieści współczesnej Fiodora Abramowa „Dom” pewna matka ubolewa nad zachowaniem syna i skarży się przyjacielowi:

„Wszystko, wszystko mu oddałam... Niczego nie oszczędziłam... Myślałam sobie, że skoro ja i ojciec nie zakosztowaliśmy życia, to niechże choć on za nas użyje... — No i niepotrzebnie! Ta własna litoscia zepsuł ci chłopca! — Prosto z mostu rąbnął Michał. — Więc po twojemu tylko w biedzie rodzi się porządny człowiek? Dobrze życie psuje człowieka? — Diabli wiedzą, co go psuje!”

Kolejną osobliwością warunków socjalizacji i wychowania młodzieży było powstanie w naszym kraju tzw. kultury „prefiguratywnej”, w której starsi uznają niezależność młodych i naśladują ich styl życia. A jeszcze nie tak dawno mieliśmy kulturę tradycyjną, chłopską („postfiguratywną”), w której dzieci i młodzież kształtowane na obraz i podobieństwo dorosłych. I często przypomniano, że ryby i dzieci

nie mają głosu. Wspominając czasy przedwojenne Tadeusz Konwicki pisze:

„W tamtych latach nikt nie chciał być młodym. Młodość była czymś wstydliwym, niepełnowartościowym, głupawym. Młodość była jakby karą bożą albo czyszcem wymierzonym awansem. To były czasy krzywych nóg, zwanych nie wiadomo dlaczego angielską chorobą. To była epoka ospowatych twarzy, o których się mówiło, że diabeł młócił na nich groch. To były lata bezżębności i nikogo nie przerażały usta wypełnione szczerzalnymi piekankami. Ludzie wtedy nosili garby, powoloczli uschniętymi nogami, cierpieli bielmo na oczach, płuli gruźliczą flegmą, gnili z syfilisu, dusili się astmą, obrastali żyłkami z katorżniczej pracy, karleli od artretyzmu. To były piękne czasy zaludnione brzydkiemi ludźmi. (...) Z tamtych lat dorodziłi chodzili wyprostowani, pyszni i czelodni. Wymagali dla siebie szacunku, miłości, pełnego zaufania. Nie musieli się jeszcze kryć po kątach albo schodzić z drogi czy przebiernie się i charakteryzować na młodych. Byli tak rozwiązani, że podawali rękę do całowa-

EDMUND LEWANDOWSKI

## Pokolenie na zakręcie

nia. I młodzi całowali ręce matek i ojców, ciotek i stryjów, księży i dyrektorów, sklepikarek i artystów. (...) A później nagle, nie wiadomo jak i kiedy, zwyciężyła młodość. Młodość wolna od kalectwa, chorób i brzydoty. Młodość pełna pogardy dla niemłodych. Młodość piękna i długowieczna.”

Cytat jest nieco przydługi, lecz trudno lepiej wyrazić istotę i znaczenie przejścia od kultury postfiguratywnej do prefiguratywnej.

I ostatnią ważną cechą sytuacji, w której dorastała młodzież jest pewnie kryzys systemów racjonalnych i światopoglądów naukowych. Nastąpił on po klęsce Amerykanów w Wietnamie, gdzie w obliczu determinacji walczącego o wolność narodu niespodziewanie zatamowały się komputerowe sposoby prowadzenia wojny. I gdzieś od tamtego czasu obserwujemy na świecie wzrost fali irracjonalizmu: wzmożenie religijności i mistycyzmu, rozwój parapsychologii, okultyzmu, astrologii, wiarę w UFO. Ludzie są jakby znudzeni racjonalizmem, i odczuwają potrzebę ucieczki w świat wymagany. Należy się z tym liczyć, że potrwa to jakiś czas, aż w końcu znowu nastąpi powrót do fascynacji nauką.

3.

Jakie osobowości uformowały się w takich warunkach socjalizacji? Otóż przede wszystkim trzeba podkreślić, że wbrew pozorom istnieją bardzo duże podobieństwo postaw pokoleń młodzieży i jej rodziców. Obie generacje mają w zasadzie identyczny system wartości. Wygłada więc jakby przysłowiowe jabłko rzeczywistości niedaleko padło od jabłoni. Ale izomorfizm ów wynika raczej nie tyle z bezpośredniego wpływu rodziców na własne dzieci, co z ogólnego klimatu wartości w społeczeństwie. Duża odpowiedzialność postaw i wartości występuje zresztą nie tylko między obu pokoleniami, lecz także pomiędzy poszczególnymi klasami, warstwami i grupami społecznymi. Oznacza to, iż naród nasz jest socjologicznie dość jednorodny, a podział ideowo-moralnie przebiega głównie poprzez klasy i warstwy, a nie między nimi. W badaniach nad młodzieżą studentką wykazano, że zasadniczo nie różnicuje postaw światopoglądowych i politycznych pochodzenie społeczne. I co więcej: struktura klasowa prawie nie funkcjonuje też w świadomości respondentów. Postrzegają oni podziały społeczne nie tyle według wyznaczników klasowych, co raczej stratyfikacyjnych — tzn. na tle dochodu, protekcji, przywilejów, wykształcenia, stanowiska, przynależności partyjnej.

W hierarchii wartości młodzieży zdecydowanie pierwsze miejsce zajmuje szczęśliwe małżeństwo i udane życie rodzinne. Pragną oni szybko usamodzielniać się, we własnym mieszkaniu założyć matką rodzinę. Nie chcą zaś przebywać pod jednym dachem z rodzicami i żyć w dużej rodzinie. Młodzi stanowczo nie życzą sobie, aby rodzice wtrącał się w ich sprawy, ale równocześnie oczekują od nich bezwarunkowej pomocy. Jest to po prostu pokolenie nie uznające stosunków patriarchalnych, lecz partnerskich. Zasada partnerstwa dominuje także w stosunkach między małżonkami. Role społeczne mężczyzny i kobiety znacznie upo-

dobniły się; aż trudno uwierzyć, że kiedyś istniał problem: „Irena do domu”.

Obok małej własnej rodziny, wysoko cenią zdrowie, interesującą pracę i wiernych przyjaciół. Można zatem stwierdzić, że dla współczesnej młodzieży liczą się najbardziej wartości egzystencjalno-afiliacyjne. Ale nie należy na tej podstawie wyciągać wniosku, że mamy do czynienia w całości z pokoleniem konsumpcyjnym. Albowiem najwyżej jedna czwarta usilnie pragnie dobrobytu materialnego, zaś większość marzy o „małej stabilizacji”. A poza tym spory odsetek przywiązuje dużą wagę do wartości moralnych. Na przykład w środowisku studenckim co trzeci mężczyzna i co piąta kobieta wybrałi w trzech kluczowych dla siebie wartościach — spośród oferowanych czterestu — czyste sumienie.

Pod względem uczestnictwa w praktykach religijnych młodzież polska zajmuje chyba pierwsze miejsce w Europie. Rzecz jednak w tym, że jest to religijność emocjonalno-obyczajowa, nie zaś refleksyjno-moralna. Młodzi nie znają i nie czytają Pisma Świętego, nie roz-

ważają głębiej sensu dogmatów religijnych i nie przejawiają katolicyzmu w życiu codziennym. Notabene w odniesieniu do całego naszego społeczeństwa nie stwierdzono istotnego związku między religijnością a moralnością. Katolicyzm polski jest zdumiewająco nieefektywny moralnie, co podkreślali już cudzoziemcy odwiedzający nasz kraj w XVIII i XIX wieku. A zdaniem Czesława Miłosza nie tak bardzo mylił się pewien profesor amerykański, który doszedł do wniosku, że „Polska jest krajem ludzi niewierzących, ale praktykujących, w imię miłości do narodowej tradycji”.

Począwszy od Sierpnia 1980 roku w wielu zakładach pracy umieszczano emblematy religijne. Organizatorami tego byli przeważnie ludzie młodzi. Na terenie „Ursusa” doprowadzili nawet do odprawienia Mszy św. w normalnym czasie pracy. Celebryjący ksiądz odniósł jednakże wrażenie, iż więcej chodziło tu o sprawy ambicjonalne i demonstracyjne, aniżeli religijne. Już wkrótce po zawieszeniu kilku krzyży i obrazów św. Barbary zapomniano o ich obecności. Proboszcz zaś ubolewał: „Widok krzyża w hali nie skłania ich do refleksji nad sobą, nad swoim życiem. A przecież każdy taki krzyż powinien być obligacją do lepszego życia”.

O niezbyt głębokiej religijności młodzieży może świadczyć fakt, że wprawdzie 65 proc. studentów deklaruje wiarę w Boga i udział w praktykach religijnych, ale zaledwie 13 proc. wybiera jako najważniejszą wartość zbawienie duszy. Znamienne też, że jedynie co trzeciej osobie odpowiada katolicki ideał człowieka.

4.

W porównaniu z młodzieżą lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, obecne pokolenie jest — ogólnie biorąc — mniej ideowe i bardziej egocentryczne. Dlatego właśnie słabo działają organizacje młodzieżowe. A dokładniej sprawę ujmując: młodzi są dziś przeważnie nie tyle bezideowi, co bezideologiczni. To znaczy, że ich poglądy i wartości nie układają się w żaden zwarty system. I w całości nie są wyłącznie katolickie, marksistowskie czy inne. W świadomości młodzieży panuje ogromny chaos, który powoduje dezorientację i rodzi tęsknotę za jakimś wielkim autorytetem. Wydaje się, że największą potrzebą duchową tego pokolenia jest potrzeba układu odniesienia i czci. Ponieważ nie jest ona prawidłowo zaspokajana poprzez działalność rozumną, stąd bierze się ucieczka w irracjonalność. Każdy bowiem normalny człowiek, a młody przede wszystkim, musi w coś wierzyć i mieć sensowny cel życia. Z niewiary i wątpliwości wynikają zawsze postawy apatii i negacji, prowadzące prędzej czy później do rebelii i chęci niszczenia.

W miesiącach „odnowy” sporo mówiono o wolności i pluralizmie. Nie wszystkim jednak naprawdę o to chodziło. Znaczące przecież były liczne przypadki nietolerancji, oskarżenia o zdradę, wymuszania zachowań i bezkrytycznego podporządkowywania się większości. Symptomatyczny jest również renesans kultu Józefa Piłsudskiego, człowieka o wyraźnej, silnej osobowości i charyzmie, a przy tym dość prymitywnego i brutalnego dyktatora. Wprawdzie trudno się temu dziwić, jeśli w Polsce Ludo-

wej dezawuowano wszystkich przywódców, lecz fakt pozostaje faktem. A już zupełnie szokującą i niewiarygodnie wyglądającą u nas do niesienia o wykryciu kilku młodzieżowych gruppek urzeczonych wzorami hitlerowskimi. W sumie w tym wszystkim ujawnił się duch totalitaryzmu, przed czym publicznie ostrzegał nawet Lech Wałęsa. Prawdopodobnie po osiągnięciu wolności młodzi twórcy szybko poszukaliby kogoś, komu wszyscy od razu mogliby się pokłonić. Przypomina się tu poemat Iwana Karłowicza, gdyż sami obserwowaliśmy zbiorowe pragnienie cudu, tajemnicy i autorytetu.

Pod względem identyfikacji grupowych socjologowie odkryli w naszym społeczeństwie — w tym również wśród młodzieży — „próżnię” między rodziną i kręgiem przyjaciół a narodem i ojczyzną. Innymi słowy: przeciętny Polak nie zalicza do sfery „my” instytucji państwowych, gospodarczych i innych struktur pośrednich. Oznacza to, że nie istnieje u nas społeczeństwo obywatelskie. Po 121 latach wciąż pozostaje aktualną teza Cypriana Kamila Norwida, że nie jesteśmy dobrym społeczeństwem, lecz „wielkim sztandarem narodowym”.

Niedawno dało temu wyraz kolejne pokolenie Polaków. W celu zlikwidowania tej luki między małymi grupkami rodzinno-przyjacielskimi, a całym narodem należy rozwinąć rozmaite formy samorządności, wprowadzać demokratyczne wybory, organizować sondaże opinii i referenda. Tylko na tej drodze uda się wytworzyć świadomość typu: „nasz” zakład, „nasza” dzielnica, „nasze” miasto, województwo i państwo. W przeciwnym razie nigdy nie przezwyciężymy szkodliwego i absurdalnego podziału społeczno-politycznego na „my” i „oni”. Trzeba uznać za wielce znaczący fakt, że po Sierpniu w jednym z zakładów wywieszono następujące hasło wzięte z Wyspiańskiego: „Musimy coś zrobić, co by od nas zależało. Zważajmy, że dzieje się tak dużo, co nie zależy od nikogo”.

5.

W badaniach nad studentami, prowadzonych w latach 1980-1982, okazało się, że gdyby zależało tylko od nich, to wyjechałoby z Polski na stałe aż od 25 proc. do 31 proc. respondentów, czyli co najmniej jedna czwarta opuściłaby Polskę na zawsze i zamieszkała za granicą. Przy czym — co ciekawe — na zamiar wyjazdu nie mają wpływu takie czynniki jak sytuacja materialna, pochodzenie społeczne, stosunek do ustroju i religii. Ważne jest ponadto, że aż 66 proc. indagowanych sądzi, iż w obecnej sytuacji należy popierać masową emigrację zarobkową. Danych tych nie da się uogólnić na całą młodzież, ale mogą one wskazywać na pewne osłabienie uczuć patriotycznych i obniżenie godności narodowej. Dodatkowym potwierdzeniem takiej hipotezy może być zachowanie naszych rodaków za granicą i fakt, iż tak wielu zdecydowało się pozostać.

Poważną kwestią ideowo-wychowawczą jest załamanie się wśród młodzieży wiary w socjalizm, jego możliwości i perspektywę. W odrożnieniu od pokolenia ZMP i SP, w znacznej części reagują oni negatywnie na samo pojęcie socjalizmu, które notabene utożsamiają z rzeczywistością w stanie kryzysu. W programie NSZZ „Solidarność” nie pisano nawet o Polsce socjalistycznej, lecz „samorządnej”. I dopiero w aneksie — w jednym z wariantów polityki gospodarczej — podkreślono, że nie występuje się przeciwko zasadom ustrojowym socjalizmu, lecz „przeciw tym elementom systemu, które są ich zaprzeczeniem”.

Stanowisko to można uznać za charakterystyczne dla zdecydowanej większości naszej młodzieży. Krytykuje ona realny system socjalistyczny, ale czyni to z pozycji ideałów de facto socjalistycznych. Natomiast zwolenników kapitalizmu w istocie nie ma aż tak dużo, chociaż nie należy ich lekceważyć. W zbiorowości studenckiej za ustrojem kapitalistycznym w Polsce stanowczo opowiedziało się jedynie 6 proc. badanych, a umiarkowanie 24 proc. Ponad połowa zaś poparła socjalizm. Są to wyniki z wiosny 1982 roku. Bardzo interesujące przy tym, że stosunek do ustroju nie zależy — wbrew często spotykanym opiniom — od pochodzenia społecznego i postaw wobec religii.

6.

Na podstawie badań socjologicznych i obserwacji zachowań młodzieży nie można potwierdzić tezy o pokoleniu „straconym” dla kraju czy socjalizmu. Nie jest też prawdą, że większość jest sfrustrowana i niezadowolona z życia. Chociaż wielu przyjęło stan wojenny jako osobistą i pokoleniową porażkę, to jednak można ich będzie stopniowo pozyskać konkretnymi czynami.

„Gdyby przejrzał dziś teksty porocznym podpisanych w Szczecinie, Gdańsku, Jastrzębiu — powiada Jan Szczepański — okazałoby się, że ponad 80 procent wniosków zostało realizowanych. Tylko nikt nie wierzy, kiedy się to mówi, bo opinia jest taka, że nic nie zrobiono. To właśnie jest przykład niezdolności do rzeczowej analizy”.

Ale kiedyś ludziom otworzą się oczy, byłoby tylko nie zboczono z drogi reform i demokratyzacji.

Dla młodzieży najważniejsze jest, żeby jej nie okłamywać i nie ogłaszać pochopnie, że rzeczywistość już stanowi ucieleśnienie ideału. Nie wolno przed nią ukrywać zła, lecz trzeba je demaskować i zachęcać do walki z nim. A ponadto młodzi muszą czuć, że kanały ruchliwości społecznej są otwarte i umożliwiają awans najlepszym intelektualnie i moralnie. Jeśli zaś ruchliwość taka jest niemożliwa, wtedy zdolni i ambitni zawsze organizują opozycję — dążą do obalenia systemu.



# Dokąd zmierza ZSL

Suforia i kryzys, sukcesy i porażki, nadzieje, swądzenia, reforma i spekulacja, rozdźwięk między miastem a wsią — to wszystko miało miejsce w ostatnich trzech latach. Ale jednocześnie dokonywał się proces przeobrażeń funkcjonowania władzy i całego systemu socjalistycznej demokracji. Trudna sytuacja ekonomiczna, zwłaszcza na rynku żywnościowym, sprawiła, iż spojrzenie społeczeństwa skierowało się na wies. I na partię chłopską, która w latach siedemdziesiątych została zepchnięta na ubocze życia politycznego, nie przeciwstawiała się błędnej polityce rolnej. Ale już wspólnie NK ZSL i KC PZPR w sprawie rolnictwa z 1980 roku świadczyły, że Stronnictwo, oczyszczając się z marazmu i zła-mania, poczuło się politycznym wyrazicielem interesów i aspiracji wsi, że jak reprezentant ruchu ludowego w pełni ponosi współodpowiedzialność za kraj. Nikt inny, tylko Klub Poselski ZSL opracował propozycje zapisu konstytucyjnego o trwałości i nienaruszalności chłopięcej gospodarki rodzinnej, które zostały przesłane do łaski marszałkowskiej.

Niewątpliwie ranga Stronnictwa wzrosła najbardziej po wspólnym Plenum KC PZPR. Wspólnie podjęta uchwała zdecydowała o przyszłości polskiego rolnictwa i wyżywienia narodu. Żeby jednak sprawy te nie zostały tylko na papierze, co roku będzie dokonywane rozliczenie z tego, co zrealizowano z tej uchwały. A roboty jest masa. Jerzy Chojnacki, prezes WK ZSL w Łodzi, który na wspólnym Plenum uczestniczył w komisji „Przemysł dla rolnictwa” twierdzi, że dopiero tam wykazano niezbicie, jak minimalny jest jeszcze wpływ maszyn i środków chemicznych na wieś. Ogronomiczne znaczenie nabiera problem zapośredniczenia wsi w wodę. Ale jeszcze ważniejsza jest sprawa melioracji, dzięki której produkcja rolna w kraju mogłaby wzrosnąć o 20 proc.

Szczególnego znaczenia nabiera dziś sprawa oświaty rolniczej. W woj. łódzkim istnieje tylko 25 proc. rolników posiada odpowiednią kwalifikację, a w kraju 25 proc. właścicieli gospodarstw nie ukończyło szkoły podstawowej. Tymczasem naukowo wykazano, iż dobry fachowiec potrafi zwiększyć produkcję w gospodarstwie o 30 proc. Jeśli więc pełna melioracja gruntów w Polsce i podniesienie poziomu zawodowego wszystkich producentów dałoby o połowę większą produkcję rolną, to jest się o co bić.

Spełniając służebną rolę wobec wsi, ZSL nie ogranicza swojej roli tylko do sfery produkcji. Dziś niezmiernie ważnym ogólnonarodowym zadaniem jest troska o rzeczywistą odnowę moralności narodu. A przecież w tradycji ruchu ludowego nie brak wzorów oraz ideałów-moralnych wartości. Ponieważ przykład idzie z góry, we władzach naczelnych Stronnictwa nie mogą się już znaleźć ludzie przypadkowi, wygodni, przykaskujący, dbający o mieszkanie i służbowe samochody. Zgodnie z ustaleniami pragmatyki służbowej podjętymi przez Sekretariat NK od 1 stycznia 1983 roku, kandydaci do elitarnych prac politycznych muszą odpowiadać wymogom Statutu ZSL, a w szczególności reprezentować ideałową postawę moralną i polityczną, mieć wykształcenie wyższe i 3-letni staż pracy zawodowej, wykazywać umiejętność i doświadczenie w działalności polityczno-organizacyjnej.

Przed wspólnym Plenum w woj. łódzkim, tak jak w całym kraju, ludowy wychodził na wies, razem z robotnikami, członkami KC PZPR. I jeszcze raz okazało się, jakie znaczenie może mieć troska i zabieg o prawdziwą ludzką solidarność, o przywrócenie rozluźnionej więzi między miastem i wsią. Otóż nieufni z początku robotnicy, przekonali się nagle, jak ciężko żyje się chłopom, zrozumieć ich potrzeby, innymi oczyma spojrzeć na problemy wsi i rolnictwa. Tylko w ten sposób można rozwiązać mity o rzekomym lenistwie i bogactwie się chłopów. Bo tego miu nie wolno opierać na podstawie zamożności niewielkiej grupy producentów, liczącej zaledwie 40 tys. wyspecjalizowanych hodowców, sadowników i ogrodników.

Chodzi więc o tworzenie odpowiedniego klimatu w całym społeczeństwie. Dlatego też, po wspólnym Plenum w Warszawie, Komisja Współdziałania w Łodzi opracowała harmonogram prac, które mają służyć osiągnięciu tego celu. Odbędzie się więc wspólne Plenum KC PZPR i WK ZSL, zorganizuje się spotkania robotników z chłopami w miastach i na wsi.

W historię ruchu ludowego są jeszcze białe plamy. Dziełający marzycyści nie wie nie o „Chłosinie”, czyli Siraży Chłopskiej, która była początkiem Batalionów Chłopskich. Ba, nawet czterdziestolat-kowie nie mają pojęcia o istnieniu „Rocha”. To zostało przemilczane, gdyż „Roch”, który stworzył później podziemną armię wsi, uznano w czasach stalinowskich za polityczny organ reakcji. A przecież walczące o wyzwolenie narodu i społeczne Bataliony Chłopskie liczyły w 1944 roku ponad 180 tys. żołnierzy. W czasie okupacji ponad 10 tys. z nich poległo lub zostało zamordowanych przez Niemców.

W 40 rocznicę podjęcia walk przez BCH na Zamoższczyźnie, WK ZSL w Łodzi zorganizuje szereg imprez, m. in. uroczyste spotkanie z grupą byłych żołnierzy BCH oraz ogólnopolską wystawę „Z dziejów ruchu ludowego 1895—1949”. Rzecz charakterystyczna, iż z inicjatywą zorganizowania takiej wystawy wystąpił nauczyciele szkół łódzkich. Ponadto Kuratorium zamówiło specjalną broszurę z dziejów historii ruchu ludowego. I słusznie, młodzież winna poznać historię tych, co „żywią i bronią”. docenić ich wkład w walkę o wyzwolenie narodowe i społeczne.

Aktualnie w woj. łódzkim kończy się kampania sprawozdawczo-wyborcza w ogniwach ZSL. Mówi się o sprawach podstawowych: dostawach środków produkcji, stabilności parytetu dochodów i cen. Chłopi są świadkami, że nie ceny mają kształtować zyski, lecz wydajna praca, ale trzeba im stworzyć dogodny warunki do pracy. Trzeba dotować niektóre gałęzie przemysłu. A w ogóle to dotować producentów, a nie konsumentów.

Toczą się żywe polemiki, burzliwe dyskusje, spory. W gminach ustąpiło ze stanowiska dziewięciu prezesów ZSL. Bywa i tak, że zebranie trzeba powtarzać, albo też nie odbywa się z braku frekwencji. Ludzie są nieufni, stoją z boku, starają się przeczekać. No cóż, ZSL w latach siedemdziesiątych też popełniło sporo błędów. Ponadto mszają się złe praktyki stosowane na wsi przed sierpniem przez niektórych nadgorliwych sekretarzy partii, którzy preferowali chłopów partyjnych, zapośrednicząc ich w pierwszej kolejności we wszystkie środki produkcji i materiały budowlane. Pośród członków ZSL rodziło się poczucie niesprawiedliwości.

Poza tym wyjdzie się, iż stosunki partnerskie trzeba przenieść również w sferę administracyjno-organizacyjną. Jeśli bowiem na wsi polskiej ZSL jest liczniejsze od PZPR (320 tys. ludowców i 22 tys. członków PZPR), to z drugiej strony w wielu gminach ZSL nie posiada własnych lokali, a jeśli je ma, to nie zatrudnia żadnego pracownika etatowego. Natomiast komitety gminne partii zatrudniają po kilka osób, przy czym sekretarz jest najczęściej przewodniczącym gminnej rady narodowej. Te dysproporcje ulegną zmianie wraz z nową ordynacją wyborczą. Jedno jest pewne, a potwierdził to prof. Henryk Jablonski na wspólnym Plenum NK ZSL i KC PZPR: powoływanie i zwalnianie naczelników gmin należeć będzie do kompetencji rad narodowych.

Problemy integracji politycznej, ideałowej, aktywności i przyciągania do Stronnictwa ludzi młodych były podejmowane na spotkaniach WK ZSL z prezesami GK ZSL oraz aktywnym Stronnictwem chodzi o to, aby chłopów nie traktowano tylko jako producentów rolanych. Nie może być jednak mowy o partykularyzmie i zaciętości. Dla ZSL wartością nadrzędną jest dobro całego narodu i państwa. Stąd też po wspólnym Plenum sprawa pierwszoplanową staje się dla ludowców dążność do harmonizowania potrzeb klasowych z interesami całego społeczeństwa.

## W

informatorze turystycznym Łodzi i województwa łódzkiego, wydanym w trzydziestu tysiącach egzemplarzy w wspaniałym kredowym papierze, czytamy pod hasłem „OZORKÓW-OBIEKTY REKREACYJNE I SPORTOWE”: „Obiekt wypoczynkowy WOSiR „Tramp” ulica Traugutta 9; na terenie obiektu kąpielisko, wyposażenie sprzętu sportowo-wodnego, brodzik dla dzieci, ogródek jordanowski, boisko, ścieżka zdrowia, kregielnia”; a pod hasłem „BAZA GASTRONOMICZNA”: „Kawiarnia w ośrodku wypoczynkowym WOSiR ul. Traugutta 9, kategoria III, miejsc 50 i 20 sezonowych, czynna 10—22”.

Gdy podchodzimy do bramy nawet teraz, w późnojesiennym krajobrazie cały teren prezentuje się okazale. Budynek piętrowy, rozłożysty, z tarasem, duży basen o ciekawym, nieregularnym kształcie, mnóstwo wysokich drzew. Cały teren okolony metalowym ogrodzeniem, pomalowanym na szary kolor.

Na szczęście brama niezbyt wysoka, może z metr dwadzieścia. Gdy przeskakujemy przez nią, lekko się chwije, ale wytrzymuje. Stary Rośniak, blisko 80-letni dozorca, pilnuje tylko w nocy, w dzień budka stróża jest pusta, a brama zamknięta na głucho metalowym łańcuchem z dużą klódką. Od ówczesnych lat nie ma tu kierownika ani konserwatora. Na dozorę dziennego też Wojewódzkiego Ośrodka Sportu i Rekreacji, mieszczącego się w Łodzi, nie stać.

Z bliska wszystko widać lepiej. W basenie brudna bryja, zamazana po wierzchu, wypełnia może jedną trzecią niecki. Wygląda na to, że znów jesienią nie udało się spuścić z basenu całej wody. Zbigniew Adamczewski, ostatni kierownik „Trampa”, piastujący tę funkcję w latach 1978—80 wspomina z uśmiechem pospolite ruszenie, jakie zwoływano każdej jesieni. Strzał pożarna, samochody wywrotki i zakładu pracy, członkowie organizacji młodzieżowych, ochotnicy, wszyscy starali się wypędzić z basenu wodę. Najpierw strażacy uruchamiali pompy, potem łopatami trzeba było wybierać z dna tony biotynistej mazi i ładować na samochody. Trwało to całymi dniami.

Żeby odpowiedzieć, dlaczego tak było, trzeba cofnąć się do końca lat sześćdziesiątych. W roku 1969, kiedy oddawano do użytku ten ośrodek już było wiadomo, że popełniono przy jego projektowaniu i budowaniu trzy błędy.

Po pierwsze — abudowano ośrodek na złym terenie. Pół metra pod poziomem gruntu leży warstwa nieprzepuszczalnej dla wody gliny. Po większym deszczu część okolic budynku i basenu przypomina grząskie bagno.

Drugi błąd polegał na tym, że na mokrym terenie brak jest wystarczającej ilości wody. Napełnianie basenu, mimo zbudowania specjalnego odwiertu trwało około sześciu tygodni. Dla wyjaśnienia trzeba dodać dwie informacje: basen ten ma wymiary większe niż jakikolwiek sztuczny obiekt do kąpienia się w Łodzi, a pompa zainstalowana w budynku... nigdy nie została podłączona do prądu. Tak więc woda lała się długo i długo też musiała potem w basenie stać, co nie bardzo podobało się pracownikom Sanepidu. W roku 1978 cierpliwość Sanepidu się wyczerpała i gdy na początku roku następnego zobaczono, że nic się nie zmieniło to zabroniono w ogóle kąpieli w basenie.

Trzeci błąd polegał na tym, że niecka basenu jest położona tak głęboko, iż wylot wody z basenu znajduje się niżej niż sieć kanalizacyjna. Woda „niechętnie pnie się w górę” i nie jest to żadna tajemnica dla wszystkich, z wyjątkiem budowniczych obiektu ze Zgierskiego Przedsiębiorstwa Robót Inżynierskich.

Po obejrzeniu basenu podchodzimy do znajdującego się nie opodal budynku. Z bliska nie wygląda już tak imponująco. Ściany pękają, w niektórych szczelinach można już włożyć cienki olówek. Szyba w drzwiach kawiarni rozbita i zastąpiona dyktą. Na tarasie resztki lamp. To smętne pozostałości po patronacie ZMS z połowy lat siedemdziesiątych. Ówczesny szef miejskiej organizacji młodzieżowej, Piotr

Wojciechowski, wspomina, że kiedy skończyła się Polska powiatowa, a zaczęła wojewódzka „Tramp” dostał się w gestię łódzkiego WOSiR. Ale z Łodzi do Ozorkowa daleko. Widząc, co się dzieje Piotr Wojciechowski i jego koledzy objeli w 1975 roku patronat nad obiektem. Wtedy zrobiono te lampy, których resztki oglądamy, wstawiono elektryczną dmuchawę, bo budynek był nie ogrzewany, pomalowano cały obiekt, wycyżono boiska, zasadzono róże. Były dyskoteki, zabawy i plany zajęcia się remontem basenu, naprawienia wszystkich błędów. Wytrzymali półtora roku. Gdy zorientowali się, że z Łodzi nikt nie chce im pomóc, gdy zdali sobie sprawę z wielkości obiektu i związanych z nim kosztów

Kropkę nad „r” postawiono w październiku roku 1980. Wtedy to naczelnik Ozorkowa otrzymał pismo z WOSiR w sprawie „dotyczącej zmiany przeznaczenia basenu z kąpieliska na staw hodowlany”. Wtedy też zrezygnował Zbigniew Adamczewski. Te nieszczęśliwe ryby tak wszystkich zdenerwowały, że jeszcze w tym samym miesiącu doszło do inicjatywy Urzędu Miejskiego do narady z przedstawicielami WOSiR i Wydziału Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Miasta Łodzi. Ustalono, że dotychczasowy basen przerobi się tak, by mogły po nim pływać kajaki i rowery wodne, a obok zbudowany zostanie mały basenik do kąpieli. Przyrzeczono dokumentację i środki na wykonanie tych robót. Do

pieniędzy załogi w taki ogrom prac, co będzie jeśli w pewnym momencie samorząd powie: dość, co będzie, jeśli wydatki z funduszu socjalnego na wczasy i pożyczki jeszcze wzrosną — zastanawia się dyrektor naczelny „Morfeo”, Marian Sobczyk.

— Niech WOSiR da choć trochę pieniędzy na remont — mówi — albo niech właścicielem zostanie Urząd Miejski. Jak organ administracji państwowej może otrzymać dotację, etaty dla pracowników ośrodka — słowem wszystko, co potrzebne. „Morfeo” da fachowców do remontu i adaptacji.

Zastępca naczelnika, Jan Kowalski, ma swoje argumenty: — Dobrze, możemy wziąć, ale tylko wtedy, gdy zagwarantuje się nam potrzebne środki. Chociaż część środków. Roczny budżet Ozorkowa wynosi 20 milionów złotych. Tymczasem koszty remontu „Trampa” oceniane są — nie ma tu pełnej zgodności — na 30—40 milionów złotych. Mogę wystąpić o dofinansowanie w wysokości 10—15 procent budżetu, ale w tym czasie, jeśli poproszę o dodatek w wysokości dwóch rocznych budżetów.

Popiera naczelnika Miejska Rada Narodowa. Nie chcą wziąć tak dużego obiektu bez gwarancji. Co prawda WOSiR obiecuje pomoc, ale w te obietniczki nikt tu już nie wierzy. Niedawno kierownictwo WOSiR przedstawiło naczelnikowi nowy projekt remontu „Trampa”. Główne prace mogą być rozpoczęte za dwa, trzy lata. W najlepszym wypadku i pod warunkiem, że „realizacja nastąpi po zatwierdzeniu planu na lata 1984—85 i przyznaniu dotacji budżetowej na ten cel. W obecnej chwili, z powodu braku dotacji, nie ma możliwości pozyskania wykonawcy.

Ludzie chcą by „Tramp” działał i miał rację. Brygady z „Morfeo” mogłyby dużą część robót wykonać w rok. Ale zakład nie ma gwarancji pomocy, a jako samodzielnemu przedsiębiorstwu nie ma nakazać nie można. Podobnie z Urzędem Miejskim. Zdaniem Czesława Kinasza, I sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR w Ozorkowie, WOSiR chce wybrnąć z sytuacji bardzo tanim kosztem. Miał szansę wyprzewadzić tego „Trampa” na szerokie wody, ale od czasów tego spapanego remontu właśnie ta instytucja winna jest większości zaniedbań.

W tej sytuacji za darmo wcale nie oznacza tanio. Tymczasem roczny budżet łódzkiego WOSiR na remonty kapitalne wynosi prawie 6 milionów. Musi to starczyć na Arturówek, Stawy Jana, Miłynek, Zdąry i wszystkie pozostałe obiekty. Skąd wziąć 30 milionów na remont „Trampa”?

Wychodzimy przez plot. Gdy jesteśmy po drugiej stronie Zbigniew Adamczewski mówi: Za parę lat nie będzie już warto tego remontować. Taniej będzie zburzyć i zbudować nowe.

Czy mamy prawo angażować

KRZYSZTOF KRUBSKI

## „TRAMP” w Ozorkowie stoi

musieli zrezygnować. Po prostu byli za słabi, aby samemu gospodarować w tak dużym ośrodku. Tak smarnowano pierwszą szansę.

Po porażce młodzieży do generalnego remontu przystąpił łódzki WOSiR. Pal sześć przeszłość, błędy projektantów i wykonawców. Nie wspomniemy też czy to sam WOSiR chciał przejąć „Trampa”, czy to kazano mu chcieć. Remont kapitalny miał wszystkie sprawy załatwić i tu zaczyna się rzeczywista odpowiedzialność WOSiR. Remont zakończono niedługo przed objęciem funkcji kierownika przez Zbigniewa Adamczewskiego.

Po remoncie pompa nadal nie działała, urządzenie do chlorowania wody ani wtedy, ani nigdy później nie zostało uruchomione, w basenie nadal było brudno, a instalacja elektryczna była tak słaba, że po włączeniu kilku dodatkowych żarówek w pokoju kierownika z gniazdka elektrycznego sygnaliły się iskry. Tak smarnowano drugą szansę.

Ale WOSiR wyznaczył plan finansowy dla „Trampa”, kwartalny obrót miał wynosić 100 tysięcy złotych. Adamczewski ratował się urządzeniem kolonii. Co prawda Sanepid właśnie wtedy zamknął basen, ale zostały jeszcze urządzenia do zabawy, duży kawał zieleni, taras do opalania. Dzieciaki ze wsi spod Gdańska, Gorzowa, Olsztyna spływały w szkołę, a bawili się na terenie „Trampa”. Zimą woda, której nie udało się całkowicie wylać z basenu zamarała i lodowisko było gotowe. Wypożyczano łyżwy, z głośników śpiewała „Abba” i jakoś to szło.

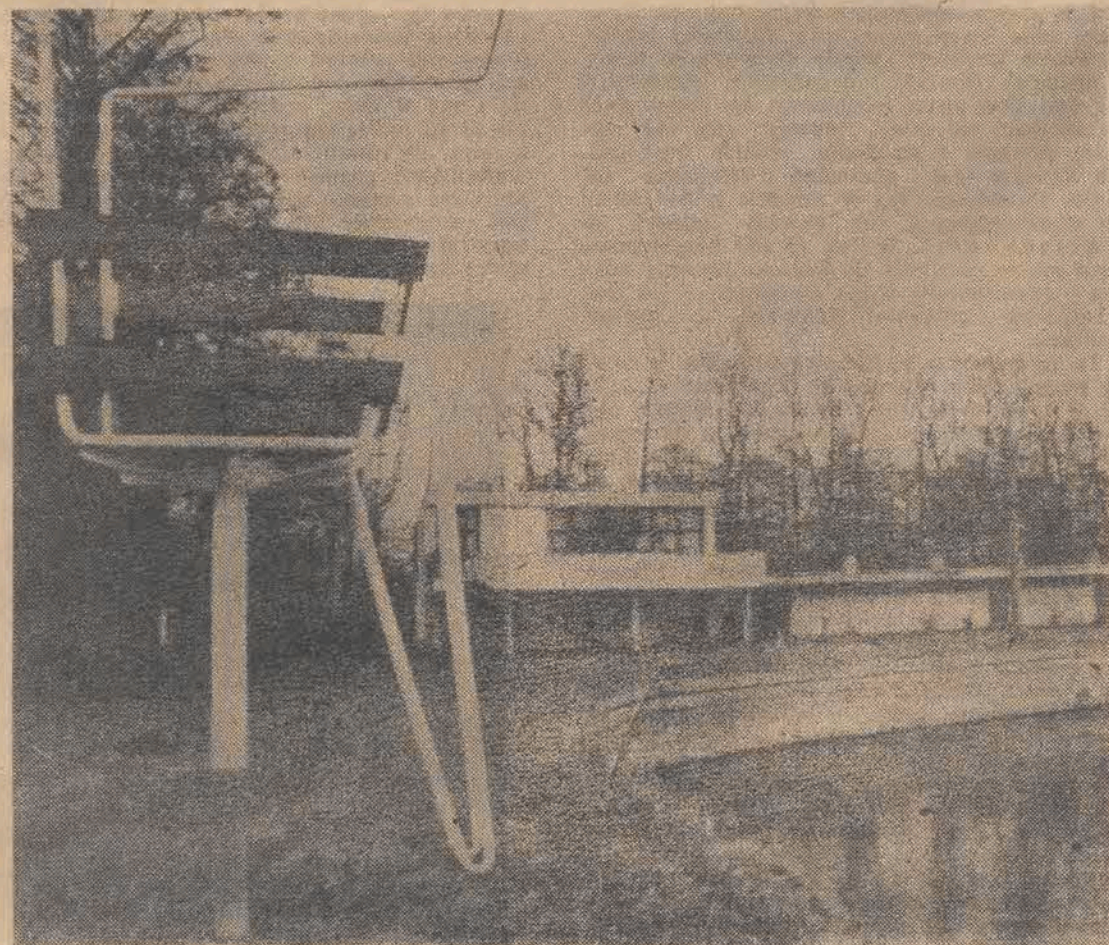


Foto: M. Zajdler

RYSZARD BINKOWSKI

6 ODGŁOSY

NR 7 (1298) XXV 12 LUTEGO 1983 R.

## Dokończenie ze strony 1

wyznanu tym nie ma zapewne żadnej przesady, zwłaszcza że doli-wna niepozornej rzeczki Moszczenicy należy niewątpliwie do najpiękniejszych zakątków regionu łódzkiego. Tam też znajdował się cel podróży dwóch gimnazjalistów z Kijowa — Byszewy, majątek starej, choć zubożałej już rodziny Plichtów.

Wielkoprzemysłowa Łódź odwrócona była od Byszew, od samego początku stała do nich tyłem. Mimo tak bliskiego sąsiedztwa, były to zawsze dwa różne nieprzenikalne światy. W pierwszym dominował hałas maszyn, dym z fabrycznych kominów, pośpiech i — nade wszystko — pieniądź. W drugim — piękno przyrody, cisza i szlachecka tradycja polskiej wsi, zupełnie jakby w Byszewach czas zatrzymał się sto lat wcześniej. I dziś jest podobnie, choć dystans — tak w czasie, jak i przestrzeni — znacznie się zmniejszył. Różnica polega zaś na tym, że o ile Byszewy stopniowo odkryły już dla siebie Łódź, to Łódź nie odkryła Byszew jeszcze prawie wcale. Kto wie, może trzeba było przyjechać z dalekich kresów, by zobaczyć to, czego łódzki mieszczanin szuka nad morzem, w górach, za granicą?

Latem 1911 roku w byszewskim dworku o-prócz gospodarza, sędziego lipińskiego, Józefa Plichty, mieszkało też sześciu jego siostrzeńców, ciotka Maria, która prowadziła bratu dom, no i „ojciec Laurenty”, jak od razu przeważało to młodego Iwaszkiewicza. Józef, Wincenty, Tomasz, Tadeusz, Jan i Zygmunt Swierczyński, synowie drugiej siostry Józefa Plichty, spędzali w Byszewach każde wakacje. Mówiło się nawet, że któryś z nich odziedziczy majątek, ale oni wybrali kariery wojskowych. Przez ostatnie lata przed pierwszą wojną światową towarzyszył im późniejszy autor „Panien z Wilka”, który czuł się u Plichtów jak u rodziny.

Oczywiście korepetycje były tylko pretekstem i chłopcy niewiele poświęcali im czasu i uwagi. Przede wszystkim bawili się, polowali i „szaleli” po całej okolicy. Często zagladali też do Skoszew, sąsiedniego majątku, będącego własnością rodziny Zdzitowieckich. Tam właśnie były panny — Zofia i Helena Kurkiewiczówny, bratanice młodszej pani Zdzitowieckiej. Czy to one były pierwowzorem dla pańien z Wilka? W pewnym sensie... Jednoznacznej odpowiedzi udzielił jednak nie sposób już choćby z tego względu, że w opowiadaniu pańien jest przecież szef. Poza tym ani na chwilę nie wolno zapominać, że jakkolwiek „Panny z Wilka” są utworem wyraźnie autobiograficznym, to jednak nie jest to wierne odbicie rzeczywistości.

Wiadomo na przykład, że literacką Kazię obdarzył Iwaszkiewicz wieloma cechami najstarszej siostry Karola Szymanowskiego, Nuli z którą w Tymoszewce, jak Wiktor z Kazią w Wilku, wiodli długie i poważne rozmowy. Można się domyślać, że postać Feli wiąże się w jakiś sposób z osobą Tomka Swierczyńskiego, zmarłego w wieku 20 lat na tyfus. Sporo mówią też wspomnienia Iwaszkiewicza z wakacji w Stawiszczu na Ukrainie, które spędzał między innymi w towarzystwie trzech urodziwych pańien: Jadwigi Hanickiej, Janiny Smolnickiej i Zofii Hulanickiej; „Jadzia Hanicka, drobna i szczupła, z pięknymi niebieskimi oczami, cieszyła się być może największym powodzeniem. Trudno się było oprzeć jej urokowi i chociaż zniechęcało mnie to do niej, że nazbyt już każdy ulegał jej czarom — postanowiłem być jej przyjacielem. I rzeczywiście — stosunek nasz ułożył się po przyjacielsku, a dla pokrycia rzeczywistych moich uczuć flirtowałem gwałtownie z Janką...”

Jak więc z tymi pannami było naprawdę, możemy się tylko domyślać. Pewnie jest natomiast ponad wszelką wątpliwość, że literackie Wilko, to Byszewy.

„Okragłym łukiem podjazdu Wiktor Ruben wszedł przed ganek, przez ganek przeszedł; w przedpokoju, owionął go zapach tego domu...”

W dawnym dworku Plichtów pachnie dziś farbą emulsyjną i lakierowanym drewnem. Puste okna, niedawno dopiero rozgrzane kaloryfery, rzędy wiszących pod sufitem świetlówek. W przedniej części prawego skrzydła — duża sala, do której przed kilku zaledwie dniami wstawiono krzesła i stoliki. Pozostała część parteru, łącznie z wydzielonym trzypokojowym mieszkaniem, do którego wchodzi się ze szczytu, stoi prawie pusta. Na poddaszu, czyli „górze”, jak niegdyś, cztery niewielkie pokójki. To tu mieszkali latem Swierczyńscy, a później w okresie międzywojennym — synowie i córki Józefa Plichty. W jednym z tych pokoiów mieszkał też Jarosław Iwaszkiewicz. — O, w tym! — mówi pewnym głosem Bogdan Myszkowski, otwierając drzwi.

Za oknem, przez które mieszkańcy „górk” często wychodzili po kryjomu na dach nie istniejącej już przybudówki, rosły kiedyś dwa dorodne kasztanowce. Teraz w tym miejscu jest bioto i gnoj. Za siatkowym plotem stoja obory, w których przez ostatnie lata hodowano bukaty, z różnym ponoc skutkiem. Bardziej na lewo — pięćrowny blok i dopiero za tym wszystkim — wspinające się na wzgórze pola na końcu których widać sosnowe lasy. Dewaluacja krajobrazu!

Z drugiej strony dworku rości dawniej kilkusetletni dąb. Kto go wyciął i dlaczego? Nie ma też już przed ganek podjazdu ani okolonego kamiennym murkiem klombu z malwami. Staw w podwórku, w którym do samej wojny trzymały się karasie, przypomina teraz coś pośredniego między kałużą a biotnym bajorem.

Z tyłu, za dworem był ogród i park. Na pewno był, to jeszcze widać. Gdyby tak uprzędkować aleje, pogłębić i oczyścić zaroste już prawie całkiem stawy, w których zamiast baków mogłyby jak dawniej pływać karpie, ustawić ławki...

— Gospodarza, prawdziwego gospodarza tam trzeba — powtarza Franciszek Michalak. Przed wojną był rządcą w Byszewach, po woj-

nie osiedlił się w pobliskiej Sierzni, gdzie z synem gospodaruje na 23 hektarach; specjalizacja — nasiennictwo traw.

— Kiedy Plichta zatrudniał mnie u siebie — opowiada — a było to w 1929 roku, dwa lata przed jego śmiercią, też nie wszystko szło w Byszewach najlepiej. Majątek bardzo ucierpiał w czasie tamtej wojny, tu wszędzie było pole walki, w dworze siedzieli Prusacy, Plichta był w Warszawie... Ale przecież jakoś wyszło się z długów, zapłaciło zaległe podatki... Bo trzeba panu wiedzieć, że Plichta to był bardzo dobry człowiek. O ludzi dbał, mówił nieraz, że podatki mogą być nie zapłacone, ale pracownikom zapłacić trzeba uczciwie za ich pracę.

— Dom prowadziła mu siostra, stara panna, bo on bardzo długo był kawalerem. Dopiero we wojnę w Warszawie ożenił się z córką doktora Wioślickiego, Zofią. Miał wtedy 55 lat, a ona 25, i już była wdową. Zaraz po ślubie Plichta chciał sprzedać Byszewy, ale jak przywiozł tu żonę, to tak się jej spodobało... Była pianistką i malarką. Nieraz jak ją co naszło, to i dwa tygodnie nie wychodziła z pokoju, tylko malowała i malowała. Była bardzo miła, ale gospodyni z niej — żadna, więc siostra nawet po ślubie prowadziła im dom.

— A potem, jak ja już nastąpiłem, Plichta rozchorował się. Niedługo przed śmiercią znów chciał sprzedać Byszewy. Zgłaszali się kupcy — sami Niemcy, ale Plichta powiedział, że Niemcowi nie sprzeda polskiej ziemi, żeby nie wiem ile dawał. I dlatego pewnie jak przyjechał tu wtedy Iwaszkiewicz, temu chciał sprzedać majątek, prawie za bezcen, to pan wie.

## Gdzie te panny, gdzie to Wilko...

Józef Plichta spoczywa na skoszewskim cmentarzu. Tu pochowano też jego siostrę, Marię, ojca — Włodzimierza Plichtę i matkę — Adolę z Kurdwanowskich. Na dziedzińcu kościółka w Skoszewach — grób pradziada — Tadeusza Plichty (1755—1833). To za jego życia, w początkach XIX wieku zbudowany został klasycystyczny dwór w Byszewach, do którego rodzina Plichtów przeniosła się po pożarze najwidoczniej drewnianego dworku w Moskwie. Wiesz ta zawiązka swoją nazwę prawdopodobnie innemu Plichtcie — Konstantemu, kasztelanowi sochaczewskiemu, a później wojewodzie mazowieckiemu, uczestnikowi niefortunnej wyprawy moskiewskiej królowicza Władysława Wazy.

Tak, była to niegdyś bogata i znacząca rodzina. Józefowi Plichtcie z obrzydnym majątkiem pozostały tylko Byszewy. Jego dzieciom — rodziny sygnet z herbem Półkoźci. Niewiele więcej.

Najstarszy z rodzeństwa, Andrzej, w czasie drugiej wojny walczył w I Dywizji Panczernej generała Stanisława Maczka, został na Zachodzie, nie wiadomo nawet czy jeszcze żyje. Drugi syn, Janusz, budował cukrownie, mieszkał w Warszawie i jest już na emeryturze. Córka, Halina uczy jeszcze w szkole rolniczej w Gdańsku, Aleksandra i Krystyna (a nie Barbara, jak mylnie pisze we wspomnieniach Iwaszkiewicza) mieszkają w Łodzi. Często odwiedzają rodzinne strony. Pani Aleksandra odziedziczyła po matce zdolności plastyczne. W jej 2-pokojowym mieszkaniu na 9 piętrze wieżowca ściany obwieszone są obrazami, wśród których kilka przedstawia okolice Byszew. Iwaszkiewicz uwielbiał Byszewy na kartach swych opowiadań, pani Aleksandra — na wielu, wielu póżnankach. Sentymnt, powrót do lat młodości? Zapewne, ale chyba nie tylko.

„Jedna rzecz zastanowiła Wiktora, a mianowicie, że go tutaj tak dobrze pamiętano, że przez piętnaście lat mówiono o nim w tym ustroniu, podczas gdy on myślał, że (...) prześliznął się nie zauważony i niepozorny przez pokoje dworu w Wilku, zawsze postawionego na szerokiej stopie. Okazało się jednak, że odegrał tutaj ważną rolę...”

W styczniu 1940 roku, zaraz po śmierci Marji Plichty, hitlerowcy wysiedlili z dworku prawowitych właścicieli Byszew. Nigdy już nie mieli tu wrócić na stałe.

Po wyzwoleniu na pewien czas majątek zajęło wojsko, a potem utworzono PGR. W rozgrabionym i zniszczonym dworku zamieszkało kilku jego pracowników z rodzinami. Mieszkałi, dopóki się tylko dało. Kiedy PGR wybudował blok (czy trzeba było nimi aż tak bardzo zespierać otoczenie?!), przeniesli się do nowych mieszkań, a w dworku drzwi i okna zabito deskami, czekając — na co, aż się zawali?

Na początku 1978 roku łódzkie Pracownie Konserwacji Zabytków przystąpiły do kapitalnego remontu. Stan techniczny dworku był już tak zły, że praktycznie trzeba go było zbudować prawie od nowa. Ze starych murów pozostawiono tylko dwie ściany.

PKZ nie miały tego remontu ujętego w planach, ale mimo to przyjęły zlecenie, stosując się do nakazu konserwatorskiego wojewódzkiego konserwatora zabytków. Kto naprawdę stał za podjęciem tej decyzji? Władza pilnie strzeże swych sekretów, wszystko jednak wskazuje na to, że człowiekiem, który upomniał się tak skutecznie o dwór w Byszewach był autor „Pańien z Wilka”, niedoszły jego właściciel.

Nie było chyba roku i przed wojną i po wojnie, żeby na dzień, dwa, choć na parę godzin nie zajął do Byszew. Franciszek Michalak dobrze pamięta te wizyty, bo mu nieraz towarzyszył w spacerach. Pamiętają też inni starszego pana z laszczką, którego pokazują w telewizji i który podobno wszystko co tu było, opisał w swoich książkach. Chodził po byszewskich polach, po parku, zamysłony, zadumany, czasem opowiadał, jak był tu kiedyś na wakacjach, pytał, co się teraz dzieje.

— Raz jak przyjechał — mówi Aleksandra Dębowska, która do końca utrzymywała z pisarzem stały kontakt — jak zobaczył tę ruinę, to tak się zdenerwował, że natychmiast wsiadł w samochód i kazał się wieźć do Łodzi, żeby ratować Byszewy.

Widać szybko przekonał kogo trzeba.

Oficjalnie zleceniodawcą i inwestorem remontu był PGR Rogów, do którego należało gospodarstwo w Byszewach, ale pieniądze pochodziły z funduszy centralnych. Mówiono coś o wiejskim domu kultury, o gminnej bibliotece... Nie spieszyło się chyba jednak PGR-owi z niesieniem kultury na wieś, skoro długi nie chciał przejąć z powrotem wyremontowanego już dworu. Powodem były usterki, ale kiedy w styczniu 1982 roku usterki usunięto, znalazł się inny ważny powód... PKZ zwróciły się do władz miasta. Wydano stosowne dyspozycje. Dokładnie od roku dworkiem znów dysponuje PGR, który w międzyczasie zmienił sztyl i teraz nazywa się: Przedsiębiorstwa Rolno-Przemysłowe w Łodzi, Zakład Byszewy. Co w ciągu tego roku zrobiono?

— Nie mieliśmy koku, żeby ogrzać budynek — mówi kierownik Zakładu Byszewy, Bogdan Myszkowski — to i nie się nie działo. To mieszkanie od szczytu, to dla mnie, ale jak miałem się wprowadzić, skoro nie było grzane. Mebli też nie można było kupić, dopiero jak prezydent Krowiranda przyjechał, to załatwił nam krzesła i stoły.

— O, tu będzie świetlica dla naszych pracowników (22 rodziny) i lokalnych mieszkańców. Kupi się jakieś gry, telewizor (ale tylko kolorowy, bo taki zwykły, to przecież każdy ma w domu). No i żeby kawę czy herbatę można było wypić. Jak pan prezydent załatwi przydział... Tu chcemy wstawić biuro, taki duży, a w tamtych pomieszczeniach będą biura. A na górze? Na górze — pokoje gościnne. Nieraz przyjeżdżają do nas praktykanci ze szkół rolniczych, to będą mieli gdzie spać. W tym pokoju, co mieszkał Iwaszkiewicz, to chcemy urządzić taką izbę pamięci po nim. Muzeum obiecało, że nam pomoże. Cały dworek ogrodzi się żywopłotem, a park... No tak, park trzeba by odrestaurować, oczyścić stawy... Jasne!

Juliusz Olszewski, dyrektor PKZ: — Proszę pana, PGR zupełnie nie miał koncepcji, co tam zrobić. Przez rok dworek stał pusty, nie ogrzewany, a świeże tynki trzeba dograć. Na ścianach porobiły się wykwyty... Nasza praca kosztowała ponad 7 milionów złotych!

Andrzej Kanwiszer, wicedyrektor ds. merytorycznych Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi: — Od wielu lat czynili starania o stworzenie w pobliżu Łodzi skansenu wsi Polski Środkowej. Miałoby to być tzw. żywy skansen, w którym jak jest na przykład kuznia, wiatrak czy młyn wodny, to można oglądać jak to wszystko pracuje. Myśleliśmy przede wszystkim właśnie o Byszewach, bo to wymarzone miejsce: piękna okolica, dworek i tak blisko Łodzi. Nie widzę wielkich sprzeczności między naszymi zamiarami a interesami PGR, no, ale pan już wie... Oczywiście będziemy nadal interesować się tą sprawą, chcemy nawet pomóc w opracowaniu programu kulturalnego, urządzić w dworku jakieś skromne nawet ekspozycje...

Wojciech Walczak, wojewódzki konserwator zabytków: — Oczywiście wolałbym, żeby w Byszewach było muzeum i skansen, ale moim zdaniem, Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne nie jest jeszcze w pełni przygotowane do organizowania skansenu. Poza tym PGR jest teraz przedsiębiorstwem samodzielnym i samorządnym i nawet prezydent Łodzi nie może mu odebrać dworu i przeznaczyć na inne cele. Wszystko będzie zależało od tego, jak PGR zacznie użytkować obiekt. Chcemy to kontrolować...

Krystyna Wojciechowska: / — Kiedyś zabrałam do Byszew synową, żeby jej pokazać miejsce, gdzie się urodziła, gdzie spędziła dzieciństwo. I, wie pan, jak zobaczyłam nasz dworek z deskami w oknach, to się po prostu popłakałam. To dobrze, że go już wyremontowano, ale teraz, widzę, znówu niszczeje. A park, a stawy?...

Aleksandra Dębowska: — To nie o to chodzi, że to kiedyś było nasze, a teraz jest państwowe. I tak chyba żadne z nas nie zostałoby w Byszewach. Może moja siostra, Halina, bo ma rolnicze wykształcenie, ale ona już dawno wyjechała z mężem na Wybrzeże, ma tam dom, ogród... Chodzi tylko o to, żeby nie dopuścić do zupełnej dewastacji. Ucieszyłam się, kiedy usłyszałam, że ma tam być muzeum.

Franciszek Michalak: — Jeszcze przed wojną planowano zrobić zalew między Byszewami a Skoszewami. Iu ludzi mogłoby przyjeżdżać tu na niedzielę... Tylko trzeba by to z głową urządzić. Nie, nie mówię, że musi być koniecznie zalew, ale wreszcie coś powinno się zrobić. Panie, powiem panu tylko jedno: gdyby żył Iwaszkiewicz, już on by dalej zabrał o Byszewy!

PAWEŁ TOMASZEWSKI

## Profesjonalista i mecenas

Jeżeli kryzys może mieć także swoje dobre strony, to kryzys w kulturze, którego znaczenia na szczęście nikt u nas nie przemilcza ani nie pomniejsza, może zapisać na swoje dobro, oprócz zachęty do oszczędności (tj. rezygnacji z wydatków na działania fasadowe) również ujawnienie się polaryzacji postaw ideowo-artystycznych. Ta faktyczna, od lat istniejąca polaryzacja była jednak kamuflowana mitem jedności moralno-politycznej narodu i nie sprzyjała konstruowaniu jakiegos klasowo zorientowanego programu kultury przez partyną lewicę. Bez tego trudno sobie wyobrazić platformę dialogu ludowej władzy z pluralistycznie zorientowanymi propozycjami partnerów, a ktoś przecież jest powołany do formułowania socjalistycznej inspiracji, która by się ścierała z odmiennymi poglądami w obrębie polskiej racji stanu.

Przypomnijmy zresztą, że ów kamuflaż służył w istocie rzeczy umacnianiu się tych tendencji, które cieszyły się wielorakim poparciem „mecenatu zachodniego”, na co bodaj pierwszy zwrócił publicznie uwagę Artur Sandauer, ale to dopiero ostatnimi czasy, ponieważ i jemu, i innym, którzy od dawna zdawali sobie z tego sprawę przedsierniowe czynniki odgórne uniemożliwiały tego rodzaju wypowiedzi, jako dezawuuujące socjalistyczny charakter oficjalnego kursu w kulturze (i w całości życia społecznego).

Zgodziłbym się więc z ministrem kultury, jeśli to właśnie ma na myśli, określając procesy polaryzacyjne jako pożądane, przybliżające bowiem moment rozeznania się w kwestii „z kim jest nam „po drodze”. Rozumiem, że po szerokiej drodze dialogu z tymi, którzy lojalnie i po partnersku będą na nas „wymuszali” udoskonalenie naszej formuły socjalistycznego humanizmu. Zgodziłbym się także pod warunkiem, że nad owym rozeznaniem nie zaciąży niewiadyłomostwo win i błędów popełnianych przez politykę kulturalną resortu, polegających na braku umiaru i cierpliwości w wyjaśnianiu stanowiska władz oraz na podejmowaniu nie dość otwarcie umotywowanych decyzji organizacyjno-personalnych, jak choćby w sprawie warszawskiego Teatru Dramatycznego, którego istnienie miało kolidować z powołaniem Teatru Rzeczypospolitej i to na piaszczyźnie... lokalowej.

Jest jeszcze i druga najnaszoka, która może, moim zdaniem wzbudzić niepokój, a mianowicie dość enigmatycznie brzmiąca przestroga przed „nadmierną profesjonalizacją kultury”. Żadne znane mi konteksty tej przestrogi nie podważają moich obaw, że tu i ówdzie, na różnych szczeblach administracji sprawami kultury zostanie ona odczytana jako aprobata dla działań ignorujących artystyczny wyróżnik twórczości.

Nie jest chyba tajemnicą, że jedną z przyczyn niezbyt wysokiego (przeziębłego) poziomu artystycznego zawodowych placówek kultury w Polsce stanowią niedostaki zawodowych umiejętności, dla przykładu: kiepska dykcja aktorów dramatycznych, braki wykształcenia technicznego u tancerzy, nieumiejętności posługiwania się tekstem mówionym w teatrach muzycznych, pomijając już nieporadności warsztatu literackiego pewnej części wydawanych książek. To zresztą pierwsze z brzegu, wyrywkowe przykłady i niebezpiecznym wydaje mi się autorytatywne, moim zdaniem, opinie, że zbyt wiele mamy w Polsce teatrów dramatycznych, operowych, orkiestr symfonicznych, jak na poziom, który sobą reprezentują (niezależnie przecież od kosztów ich utrzymania), czyli z tego względu na niedostateczną ich „profesjonalność”.

Wiemy skąd to się wzięło. Z bardzo szlachetnych intencji społecznych, aby przybliżyć ludziom sztukę i skorzystał z wielkiej szansy ideowo-wychowawczej, jaką niesie z sobą oddziaływanie sztuki. Ten kierunek poprawki, a mianowicie uwzględnienia okoliczności, że utwór artystyczny, czy też jego realizacja, nie ma żadnej ideowej nośności (a często odwrotna od zamierzonej), jeśli jego wartość formalna lub sposób jego artystycznej prezentacji nie ma dostatecznej kwalifikacji artystycznej. Na opaczny nieraz pojmowaniu tej sprawy zaważył w pewnym okresie swolwisty dualizm rozdzielnego myślenia o „treści i formie”. Zrodziło się z tego błędne przewidywanie, że niech tylko treść dzieła będzie „słuszną”, to już jego oddziaływanie da o sobie znać niezależnie od formy.

Czy można się dziwić, że tak rozumiana przestroga przed „nadmierną profesjonalizacją kultury” wzbudziła niepokój wśród twórców i oddawców, jak o tym świadczą niedawna dyskusja na łamach „Polityki” z wybitnymi przedstawicielami sztuki aktorskiej, którzy opowiadali swój artystyczny warsztat na poziomie najwyższego profesjonalizmu? Niepokój, za którym może kryć się i taka jeszcze obawa, że bagatelizacja artystycznego kunsztu, może wysunąć na pierwszy plan preferencje pozartystyczne, i to bynajmniej nie ideowo-politycznej natury (bo wtedy sprawa byłaby warta artystycznego ryzyka), ale całkiem przywratne koneksje i układy sprzyjające zazwyczaj miernocie. A to już byłoby dla kultury narodowej groźne i zbyt kosztowne, jak na kryzys ekonomiczny. Należy więc czym prędzej zdjąć odium z „profesjonalizmu”, aby uniknąć pozorów, że chce się premiować beztalentia. Z pewnością jest to jednak tylko nieporozumienie.

Zresztą cała ta sprawa, jak mi się wydaje, ma jeszcze jeden aspekt. Docenianie formy artystycznej, dbałość o kunszt, sprzyja znanstwu, czyli pobudza aktywny stosunek odbiorcy do dzieła kultury artystycznej. Jest to zgodne z socjalistycznym założeniem aktywnego uczestnictwa w kulturze, przeciwstawnym konsumpcji ułatwionej. Każdy chyba musi przyznać, że długoletnia już praktyka polityki kulturalnej państw socjalistycznych stawia sobie cele ambitne i nawet w swoim „socjalistycznym” okresie obarczania sztuki zadaniem agitacyjnymi nie rezygnowała z szerokiego udostępniania wybitnych dzieł z rodzimego i światowego dorobku. I tak dalece koncentrowano się na propagowaniu sztuki przez najwięcej „S”, że niezbyt wiele uwagi pozostawiano dla rozywki, przestrzegając dość rygorystycznie proporcji pomiędzy jedną a drugą w zaspokajaniu naszych potrzeb i upodobań. Mogł być i błąd w tej nadgorliwości, ale chodziło jednak o to, by to co wymaga aktywności psychicznej i wysiłku poznawczego nie przegrało w konkurencji z tym, co kusil łatwości.

Nie ma powrotów do minionych sytuacji. Myślę jednak, że jeśli nie chcemy ulec pokusie konsumpcji ułatwionej, nie możemy też wyboru ideowo-artystycznych wartości, nadających kierunek edukacji kulturalnej, podporządkować dyktawowi wpływów kasowych. Ta humanistyczna formuła zakłada uznanie konieczności państwowego mecenatu.

JERZY KWIECIŃSKI

# Wiersze sieradzkie

MAREK GRZEGORZ MADEJ

Tym, co przede wszystkim zwraca uwagę w wydanym w serii Arkusze Sieradzkie zbioru trzydziestu bez mała wierszy Tadeusza Chrościelewskiego jest autorski zamysł umieszczenia w jednym wydawnictwie powstałych w różnym czasie utworów tematycznie związanych z ziemią sieradzką. Zamierzenie to skłania do odczytania „Gwiazdzbiorów czwórbarwnych” jako swego rodzaju raptularza poetyckiego, w którym zapis inspirowany bywa zarówno aktualnym, jak i historycznym wydarzeniem wpisanym w region kraju wielokrotnie podlegający igraszkom historii.

Pomost rzucony ponad czasem, pomiędzy historią i chwilą obecną współtworzą niekiedy daty powstawania poszczególnych utworów. Jest tak w przypadku wiersza „Na polu bitwy pod Sędziejowicami w 1863 r.”, którego końcowy dystych: „Modlimy się do nieba nieogarnionego / o spedenie błyskawic z gładkich jagód jego” jest swobodną pointą do budowania do sensów rozpiętych pomiędzy piosenkowym motywem przywołującym historyczny epizod powstania styczniowego i aktualizacją dokonaną w tym wierszu przez wprowadzenie w krag świętych traktorzysty w dzinsach, sprzedawczyń owoców i syna wierszopiscy wraz z żoną w „maluchu”.

W kregu fascynacji autora wierszy o ziemi sieradzkiej mieści się także sztuka ludowa i twórcyż ją ludzie — arkusz dopełniają fotografie i rzeźby twórców regionalnych — a fascynację tę w stopniu nie mniejszym niż zainteresowania historyczne Chrościelewskiego wy-

ciśnieły swoje piętno na tkance językowej wierszy. Wynalazczość językowa Chrościelewskiego wyrażająca się w używaniu słów rzadkich, tworzeniu zbitek słownych (w rodzaju „ludomorze”, „ogniorzęse”), raz zmierzająca w kierunku archaizowania języka, kiedy indziej skwapliwie korzystająca z elementów gwarowych sprawić może, że purysty językowego nie przypadną do gustu złożenia, które, jak się wydaje, darzy Chrościelewski szczególną sympatią. Trzeba jednak przyznać, że nawet w przypadku, gdy są to kalki wyraźnie obce językowi polskiemu (np. „Dniepr-rzeka”) ich użycie usprawiedliwia podjęty temat lub przyjęta na użytek konkretnego utworu maniera stylistyczna.

Gdzieś z wyobraźni leśmianowskiej wywieść można fragment wiersza „W niechmirowskim pegeerze”.

Nie ma parku, gazonu i przed niegazonem pasą się bezholowia ciężkie, ślepowrone

Okna zbite, wykusze zdarte. Pod nieokno Ognilce, piazozgręzy schodzą zagrać w oko

Ludomrody, stęchłości, grzybice hetmańskie Obejmują najczulej kolumny tokańskie.

Dąb nad dęby, rzezany przez swojskie rezunie, Krzyk o ponisnę do nieba wzniośszy rzycho runie.

Niekiedy konstruuje poeta a utrwalaony w polskiej tradycji literackiej symboli, przystów i bajkowych motywów aluzyjną przypowieść taką, jak w wierszu „Sieradzki pejzaż heraldyczny”. Przywołuje miejsca starych grodziszczy przemawiające głosem polskiej historii i na chocholewej nucie wyspiewujące nakazy powinności narodowych. Korzystanie z symboliki narodowej utrwalonej w dziełach Wyspiańskiego, Mickiewicza i pieśni legionowej Wybiickiego służy Chrościelewskiemu do dokumentowania osadzającej się w pokładach polskiego bytu narodowego treści historycznej. Ciągłość tradycji narodowej rejestrowana w wierszach o ziemi sieradzkiej jest więc tej poezji podstawowym wyróżnikiem.

Tadeusz Chrościelewski, „Gwiazdzbiorów czwórbarwnych ze słów wystrzygane”, WŁ, Łódź 1982.

# Zduńskiej Woli pejzaż serdeczny

MICHAŁ STEFAN DALECKI

Towarzystwo Przyjaciół Zduńskiej Woli zaufało miastu album pt. „Obrazy i słowa”. Godna uwagi publikacja z kilku powodów. Dwa z nich szczególnie warto wymienić: samą iniektatywną działalność zacownego Towarzystwa oraz że książka nie kwituje i nie „uświęca” w zasadzie żadnej „okrągłej” daty rocznicowej.

„Obrazy i słowa” nie są standardową laurką ani banalnym hymnikiem „na cześć”, lecz propozycją do czytania i oglądania ku przyjemności i pożytkowi. Kto lubi przedmioty ładne, a przy tym pożyteczne, niechybnie sięgnie po to wydawnictwo.

Dwie wartości sprzegli autorzy w „Obrazach i słowach” dla zainteresowania czytelnika i usatysfakcjonowania mieszkańców Zduńskiej Woli: znak plastyczny i słowo gładzone. Rysunek, grafika, obraz i fotografia stanowią nie tylko ilustrację, ale wydatnie poszerzają obszar treściowy książki. Słowo zaś — to poetyckie i to w stylizacji naukowej czy też literackiej objawione — prowadzi czytelnika po ścieżkach historii i współczesności. Ponad dwudziestu autorów zapewnia stronie albumu dając świadectwo faktom, refleksjom i wrażeniom, według swoich zainteresowań, profesji i sposobów narzędzia. Wszystkich zaś łączy widoczna sympatia do Zduńskiej Woli, szczerzy związek z miastem lub choćby powinność np. naukowa. Dla porządku wypada zaznaczyć, że tylko niektórzy mają w dowodzie aktualny adres zduńskowski. Czy ma to jakies znaczenie? Owszem, nawet kilka. Jest przede wszystkim widoczny w książce dystans, nutka melancholii, spojrzeń jakby z drugiego brzegu. Dlatego dominuje w partii słownej ton wspominkowy lub może trafniej — wspomnieniowy. I dlatego też niewiele stwierdzeń typu: „w ciemnych ulic zadumie / jest senność i spokój / lecz serce miasta bije / nieustannie rytmem”, na które może sobie pozwolić Stanisława Piasecka w wierszu „Zduńska Wola”. Znalazł się jednak i po-

śród wierszy „powrotnych” piękny wyjątek, sygnał uniwersalnym — zew ojczyzny ziemi. Coś z wędrowki Odysa zabrzmiało w wierszu Bogdana Ostromeckiego „Pożegnanie”. Oto fragment:

„Miasteczka ciemne, które opuszcza ktoś w młodości gorzkiej, zbudzony pośród noc i pod płotami smolistymi do stacji pustką idzie za głosem silniej rżącym niż jęk porannych syren, aż się ta ziemia przed nim po latach znów otworzy i obraz jej jedynym listkiem błyśnie”.

Tak się przemienia wspomnienie dzieciństwa w kawałek epepej.

Inny natomiast gust może zadowolić „Pieśń o jaworach w Zduńskiej Woli” Jerzego Waleńczyka, który swoją sympatię wyraził w pięknej, a miejscami bardzo urodziwej opowieści zabarwionej anegdotą. To jest także przejaw działania zduńskowskiego magnesu. I tylko przykłąd pomysłowy poety. W innym zaś przypadku powaga wiersza i ton historyzoficzny trafi z pewnością do przekonania tych, którzy widzą swoje miasto w nurcie zachodzących przemian. Tak to widzi poeta Jan Koprowski w wierszu „Pieśń o topolach w Zduńskiej Woli”:

W mojej ojczyźnie topól i topól jak robotników, fabryk i chłopów,  
W mojej ojczyźnie Zduńskie Wole,  
Nad Wolami — szumne topole,  
nad nimi druty elektryczne.

Miasta najmilsze — socjalistyczne!

Rozmaitość tematów jeszcze bardziej widoczna jest w prozie. Wymakowana poizczyzna we wspomnieniach Bogdana Ostromeckiego sięga do najlepszych tradycji gatunku; historyczny w swej stylizacji fragment prozy Janusza Teodora Dybowskiego pokazuje kawa-

łek dawnych czasów. Posmak literatury faktu niesie ze sobą tekst (fragment większej całości) Teodora Goździkiewicza „Rok w Zduńskiej Woli” — ważny i bardzo na miejscu. Dwa ostatnie teksty: Jadwigi Jakubowskiej „W kregu przyjaciół — czyli o Jerzym Szaniawskim, Zduńskiej Woli i Leonie Pietrzykowskim” oraz Jerzego Szaniawskiego „List do rodziców Leona Pietrzykowskiego” stanowią, każdy w swoim rodzaju, prawdziwą odrobę książki. Są wyraźnym sygnałem, że inicjatywa wydawców „Obrazów i słów” niekoniecznie ma być uznana za skończoną.

A i sympatie też przecie nie umykają z jesiennym wiatrem, nie gubią się w malowniczym pejzażu. Przez barwną plamę i kreskę przybierają kształt obrazów. To jest ta druga wartość albumu zduńskowskiego. Są tu prace typowo ilustratorskie, ale też można podziwiać piękne refleksje na temat miasta, jego zauroczeń i detali. Wartość dokumentu ma „Widok Zduńskiej Woli z XIX w.”. Smakosz jednak dłużej zatrzyma się przy subtelnej kresce rysunków Włodzimierza Pietrzykowskiego, grafikach Sławomira Pokornowskiego czy Przemysława Staszewskiego. A wszystko na pięknym papierze, dobrze zakomponowane i starannie (z drobnymi wyjątkami) złożone.

Polecając „Obrazy i słowa” uważam miłośników Zduńskiej Woli i czytelników niebanalnych ciekawostek uczulam jednocześnie, aby nie zrazili się pochopnie pewną cechą wydawnictwa, która piszącą te słowa nieco zafrapowała. Oto w całym bogatym materiale słownym i malarskim tak niewiele spraw i ludzi. Szczególnie ludzi i szczególnie spraw dnia dzisiejszego. Być może wydawca ma w swoich planach również ciekawe działania, które będzie jednocześnie swym istym dokumentem.

Przyszłość pokaże, bo dzieje często potrafią platać figle. Przypomnijmy, że w roku, w którym Zduńska Wola otrzymała prawa miejskie, w mieście Łodzi członkowie magistratu odbywali pierwsze posiedzenia w nowo zbudowanym ratuszu przy Placu Wolności. Może więc trzeba się spieszyć z utrwaleniem dzisiejszej Zduńskiej Woli, żeby jutro było co wspominać. A następcy, żeby mieli okazję do porównań. Będą wtedy sięgać do wdzięcznej książeczki „Obrazy i słowa”.

„Obrazy i słowa”. Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Zduńskiej Woli 1982. Oprac. red. Feliks Rajcaż, oprac. graf. Sławomir Iwanski.

Sprzedaj wiazana — czyli wymanaganie od nabywcy, aby obok towaru, który pragnie, zakupił również towar, którego nie chce i nie potrzebuje jest praktyką niezgodną nie tylko z elementarnym poczuciem przyzwoitości, ale i z prawem. Gdy jednakże potencjalny widz pragnie zobaczyć dwa lub trzy filmy, a zmusza się go do nabycia karnetu na filmy jedenaście — to nikt nie śmie protestować, gdyż wszystkich do tego od lat przyzwyczajono. Cały ten proceder jest tym bardziej niemoralny, że organizatorzy szacownej imprezy pod nazwą Konfrontacje doskonale zdają sobie sprawę, że podczas projekcji przynajmniej kilku z tych jedenastu filmów sale kinowe będą mniej lub bardziej pustawe.

Dlaczego tylko ta cała sprzedaż wiazana tak dobrze się udej? Przecież — jak wiesz — nie — wszystkie prezentowane na Konfrontacjach 81 filmy zostały zakupione przez polskiego dystrybutora i w ciągu najbliższych miesięcy wejdą do normalnego rozpowszechniania.

## KONFRONTACJE 81

# Mojzesz czy Noe?

Gra tu zapewne istotną rolę pewien snobizm, jaki wytworzył się przed laty wokół Konfrontacji. Jego źródłem było to, że przynajmniej część prezentowanych filmów nie była poza Konfrontacjami w ogóle w Polsce pokazywana. A bywały to filmy bardzo głośne i bardzo niejednokrotnie atrakcyjne. Z biegiem lat coraz rzadziej pokazywano na Konfrontacjach takie filmy. Brak ich usilowo zastąpić rozpowszechnianymi chyba z premedytacją pogłoskami, że taki czy inny film nie został zakupiony i Konfrontacje są jedyną okazją jego zobaczenia. Oczywiście pogłoski te później okazywały się zazwyczaj nieprawdą.

Tysiące ludzi kupuje karnety na jedenaście filmów, aby potem uczestniczyć w połowie albo i mniej konfrontacyjnych projekcji, projekcji filmów, które mogłyby za jakiś czas obejrzeć zapłacając jedynie cenę pojedynczych biletów.

Jest oczywiście też inna kategoria widzów, którzy cierpliwie i sumiennie uczęszczają na wszystkie, czy prawie wszystkie projekcje zestawu. To nader chwalebne, bowiem skoro statystyczny obywatel PRB odwiedza kino mniej niż cztery razy do roku, to efekt odwiedzenia kina aż jedenaście razy w ciągu niespełna jednego tygodnia umiejscawia tę grupę w pewnym sensie już w ramach kulturalnej elity.

Pozostaje jednak faktem, że tak długi filmowy maraton musi wywoływać zmęczenie, jednocześnie nie sprzyja uważnemu i wnikliwemu odbiorowi wszystkich filmów zestawu. Być może jednak wielu widzom zależało na możliwości analizy oglądanych filmów i ich porównywania, ale na możliwości narkotycznego odurzenia się kinem, zapomnienia podczas projekcji o codziennych troskach.

Jednakże dla kinomanów poważnie interesujących się sztuką filmową Konfrontacje z założenia powinny być okazją całościowego zorientowania się w aktualnych tendencjach w kinie światowym poprzez obejrzenie najbardziej wybitniejszych dzieł powstałych na przestrzeni roku. O ile Konfrontacje to umożliwiają, o tyle sensowne jest jeszcze oglądanie (i to w jednym ciągu) całego zestawu filmów.

Czy jednak rzeczywiście jedenaście filmów pokazywanych w ramach Konfrontacji 81 jest zestawem najwartościowszych i najbardziej wybitnych dzieł sztuki filmowej powstałych w roku 1981, i na ile filmy te są reprezentatywne w stosunku do głównych nurtów w kinie światowym? — pozostaje to kwestia otwarta.

Jak bowiem z kilku tysięcy powstających rocznie fabularnych pełnometrażowych filmów wybrać obiektywnie tych kilka najsłabszych? Żaden pojedynczy człowiek, ani nawet cały zespół ludzi nie byłby w stanie obejrzeć i sklasyfikować taką ilość produktów kinematografii. Kryteria zaś artystycznych ocen stosowane na wielkich światowych festiwalach (i wszędzie tam, gdzie odbiera się filmy nagrodami) są dość zróżnicowane, a w dodatku wywierają na nie często wpływ względy pozartystyczne: komercyjne, ideologiczne, polityczne... nie mówiąc już o personalnych. Zatem również zestaw filmów obdarzonych najwyższymi i najbardziej prestiżowymi nagrodami nie byłby w pełni miarodajny.

A cóż dopiero powiedzieć o zestawie filmów na Konfrontacjach 81, jeśli organizatorzy całej tej imprezy spośród filmów nagrodzonych tu i ówdzie (i to nagrodami różnej rangi) dokonali własnego wyboru włączając w dodatku do zestawu filmy niezgodnie z przez nikogo nie nagrodzone?

Spróbujmy jednak, świadomi powyższych zastrzeżeń, potraktować zestaw filmów maratonu Konfrontacje 81 jako całość złączoną i symptomatyczną. Ot dokonać takiego małego wróżenia. Skoro można wróżyć z fusów, z wnętrza ofiarnych zwierząt, z wosku, z dymu i tyłu innych rzeczy — to czemu by nie z filmów? Może przypadek okaże się tym razem przypadkiem obiek-

tywnym? O czym w najogólniejszym zarysach traktują poszczególne filmy? Jakże pojawiają się w nich tematy?

Jest czymś zastanawiającym, że ilość pojawiających się w filmach zestawu Konfrontacje 81 tematów jest dość ograniczona, chociaż poszczególne wątki tematyczne pojawiają się w różnych wariantach i kombinacjach. Na pierwszym bezwzględnie miejscu należałoby tu wymienić temat wojny, agresji, przemocy, bezwzględnej manipulacji człowiekiem przez innego człowieka, traktowanie istoty ludzkiej jak zwierzęcia lub rzeczy. Zaraz potem lokuje się temat miłości lub jej braku, niedostatku... Następnymi pod względem częstości występowania są dwa tematy, czy sfery tematyczne (z konieczności określam je za pomocą pewnych haseł wywoławczych) — sfera problemów sztuki, fikcji artystycznej, problemów związanych ze statusem artysty;

— sfera mistyki, magii, metafizyki...

— Za wyjątkiem może czechosło-

wackiego filmu „Pomocnik”, będącego przede wszystkim ilustracją prawidłowości procesu pierwotnej akumulacji kapitału w dziedzinie handlu i związanych z tym problemów moralnych — wszystkie pozostałe filmy zestawu stanowią prawie bez reszty kombinację wyżej wymienionych tematów.

O wojnie i jej okrucieństwie w zupełnie ewidentny sposób opowiadają wietnamskie „Dziki błota”, polska „Austeria”, radziecki „Fakt”, również francuski „Ostatnie metro” (choć może dla polskiego widza obraz niemieckiej okupacji Francji w latach 40-44 wyda się dość sielankowy w porównaniu z tym, co dzieło się w analogicznym czasie nad Wisłą). Węgiersko-REN-owski „Mefisto” i amerykański „Poszukiwacz zaginionej arki” zawierają (choć w różnym stopniu eksponowany) obraz fałszywostki metod osiągnięcia celu za pomocą bezwzględnie, nie liczącej się z niczym prócz fizycznej siły, przemocy. Również — jeśli się zastanowić — takie z pozoru nie mające z kwestią wojny nie wspólnego filmy, jak: „Z życia marionetek”, „Zwylki ludzie” oraz „Jeśli się odnajdziemy” zawierają temat albo otwartej agresji, albo przynajmniej dokonywanej w białych rękawiczkach, lecz również przemocy i bezwzględnie manipulacji ludźmi. W filmie Bergmana bohater dokonuje mordu na prostytutce, a prześladuje go myśl o zabiciu żony. W „Zwylkich ludziach” R. Redforda bohater — kilkunastoletni chłopiec usiłuje popełnić samobójstwo, zaś jego koleżanka dokonuje w pełni udanego zamachu na własne życie. Agresja skierowana przeciw samemu sobie jest również agresją. Ma też posmak agresji brutalna manipulacja ludzkimi uczuciami (choć przyświecają jej szlachetne założenia) ukazana w filmie „Jeśli się odnajdziemy”.

Pierwszoplanowym tematem filmów: „Kochanica Francaza”, „Ostatnie metro”, „Jeśli się odnajdziemy”, „Z życia marionetek”, „Zwylki ludzie” jest bez wątpienia kwestia miłości.

Wielka romantyczna miłość kobiecy w „Kochanicy Francaza” okazuje się tylko pozą, fikcją — i to fikcją podwójną, gdyż zawarta w narracyjnym tuziołowie wewnątrz samego filmu. Lecz ta właśnie poza wywołuje autentyczną namietność mężczyzny. W opowiedzianej zaś bez cudzozytności historii, wyczuwa się wyraźną nostalgię za czymś, co łączyłoby dwoje ludzi, będąc czymś więcej niż tylko sporadyczna wymiana dwu kaprysów, zetknięciem dwu naskórków.

„Ostatnie metro” jest właściwie historią o miłosnym trójkącie: maż, żona i ten trzeci.

„Jeśli się odnajdziemy” balansuje na krawędzi melodramatu. Nie chodzi tu co prawda o miłość erotyczną, ale o miłość między dziećmi a ich potencjalnymi przybranymi rodzicami. Jednakże obraz sierot z domu dziecka potrzebujących miłości — bez przesady — prawie tak jak powietrze, stawia kwestię niezbędności miłości w życiu człowieka z dużą jaskrawością.

„Z życia marionetek” i „Zwylki ludzie” posiadają właściwie ten sam, główny, wspólny temat; zanik, brak pozytywnych więzi emocjonalnych człowieka z człowiekiem i konsekwencje takiego stanu rzeczy.

Zastanawiająco wiele filmów dotyka sprawy relacji między życiem i sztuką. Główną osi kompozycyjną „Mefista”, „Kochanicy Francaza”, „Ostatniego metra” jest przeciwstawienie sobie dwu planów narracji — akcji wydarzeń realnych oraz akcji fikcyjnej utworu scenicznego bądź filmowego. Również jeden z fragmentów „Austerii” oparty jest na tej opozycji. Oba plany wydarzeń stanowią dla siebie swoisty komentarz. Pojawiają się analogie, aluzje w życiu do sztuki i w sztuce do życia składają do myśli, że fikcja artystyczna, mimo całej swojej autonomii, jest bardzo ściśle powiązana z życiem realnym, podobnie jak artysta jest w rozmaity sposób związany z kontekstem społecznym, w którym funkcjonuje. Relacja życie-sztuka w wymienionych tu filmach przed-

stawia się jako wzajemne przenikanie obustronny wpływ na siebie.

Mistyczne w swojej tematyce są filmy: „Poszukiwacz zaginionej arki”, „Austeria” i do pewnego stopnia „Mefisto”.

Arka Przymierza między Jahwe a Narodem Wybranym, zawierająca szczerki tabliczki z dwunastu przykazaniami, jakie otrzymał Mojżesz od Boga na górze Synaj, Arka będąca siedliskiem tajemniczej siły karzącej profanów — toż to mistyka najczystszej wody.

(Nawiasem mówiąc organizatorzy Konfrontacji film „Poszukiwacz zaginionej arki” reklamują w karnecie — i nie tylko tam — w sposób następujący: „Science-fiction. Fascynująca opowieść o poszukiwaniu biblijnej arki Noego”. O science-fiction trudno tu mówić, bo scjentyzm w tym raczej niewiele... ale już na pewno Arka Przymierza i Arka Noego to dwie różne rzeczy. Pierwsza zbudowana została w czasach Mojżesza, druga trochę wcześniej — jeszcze przed potopem przez niejakiego Noego. Poza tym Arka Noego musiała być znacznie większych rozmiarów. Szkoda, że nasi rodzimi specjaliści od upowszechniania kultury filmowej o tym nie wiedzą.) Ale ad rem...

„Austeria” również przepelniona jest mistycznymi symbolami, wywodzącymi się ze starożytno-mentowej, żydowskiej tradycji. Sama nawet karcza (austeria), w której dzieje się prawie cała akcja filmu wydaje się pewnym odpowiednikiem Arki Noego, jest bowiem schronieniem dla ludzi i zwierząt w czasie kataklizmu — tym razem nie potopu, ale wojny.

W „Mefiście” odniesienia do sfery zjawisk nadprzyrodzonych są może mniej eksponowane, ale również czytelne. Postać szatana — Mefistofelesa jako uosobienia zła występuje w filmie tylko jako figura sceniczna z dramatu Goethego. Ale zło, jakie Mefisto uosabia jest w rzeczywistości pozascenicznej najzupełniej realne. Odnosi się nawet wrażenie, że w jakiś magiczny sposób bohater filmu — aktor grający w przedstawieniu teatralnym postać Mefista, staje się poza teatrem, poza sceną demonicznym uosobieniem zła.

Cóż z tego wszystkiego wynika? Przemoc, miłość, sztuka i mistyka — czy jest to tylko przypadkowy zlepek tematów, które nie posiadają ściślejszych i głębszych z sobą związków? Otóż nie. Wszystkie te tematy sprawiają wrażenie szczególnie, głębszej jedności.

Związek między przemocą a miłością jest bardzo wyraźny — są to dwa przeciwne bieguny, dwie antytezy. Zygmunt Freud uważał, że dwiema głównymi, walczącymi z sobą siłami w psychice ludzkiej są: Eros (Miłość) i Thanatos (Śmierć). Ten ostatni instykt jest dążnością do destrukcji przejawiająca się w agresji — a agresja to przecież przemoc. Powszechnie znanym jest fakt, że u człowieka brak pozytywnych więzi emocjonalnych wywołuje skłonność do agresji. Tak też się dzieje i w filmach prezentowanych na Konfrontacjach. W „Zwylkich ludziach” chłopiec usiłuje popełnić samobójstwo, w filmie Bergmana bohater popełnia morderstwo, a odrzucone przez niedoszłych przybranych rodziców dziecko w filmie „Jeśli się odnajdziemy” zaczyna złościwie sypać w oczy piasek swoim kolegom.

Z kolei istnieje bliski związek między miłością, sztuką a mistyką. Miłość jest bowiem (choć nie wyczerpuje to całej jej tajemniczej złożoności) pewnym przekroczeniem granic własnego ja, swoistym uznaniem za część samego siebie przedmiotu uwielbienia, szerzej — w skrajnych wypadkach całego świata. Mówi się wtedy o miłości wszechogarniającej. Stan ten jakże blisko graniczy z mistyczną ekstazą, jak również z myśleniem magicznym — którego sednem jest subiektywne oddzianie własną psychice całego świata. Nieprzypadkowo też w tak wielu religiach Bóg jest uosobieniem miłości, jest Miłością.

Również sztuka i mistyka — sfera sacrum są z sobą ściśle związane. Antropologowie twierdzą, że religia i sztuka wyrastają z tego samego źródła.

No dobrze — ktoś zapyta — wiemy już, że tematy filmów z Konfrontacji 81 stanowią pewną organicznie powiazaną jedność — lecz jakie wnioski stąd płyną?

Otóż i moja wróżba, wróżba nie tyle o stanie światowego kina, ile o tym, czym żyje świat na progu lat osiemdziesiątych — XX wieku, jakie są najczystsze, najbardziej obsesyjne powracające ludzkie myśli, myśli które stanowią muszą jakąś jedność.

Największym niebezpieczeństwem dla ludzkości jest przemoc. Zagroza ona wszystkiemu, co stanowi dorobek kultury, co odróżnia człowieka od zwierzęcia lub rzeczy. Miłość jest największą siłą mocą przeciwstawiającą się przemocy. Sztuka, która stwarza drugi, równoległy do realnego świata oferuje tylko iluzję ucieczki od rzeczywistości, jest bowiem zbyt mocno z rzeczywistością realną związana. Sztuka jest ledwie półśrodkiem. Pozostaje jeszcze nadzieja na istnienie mistycznego porządku świata...

Oto moja wróżba. Tak powiedział mi film. Kto chce niech wierzy. Kto nie chce, niech nie wierzy...

ADAM BART



## SANDAUER O ŻYDACH W LITERATURZE

Pogratulować operatywności „Czytelnikowi”, który wydał w tak szybkim tempie, nie tak przecież dawno powstałe, szkice. Artur Sandauer drukował je na łamach „Polityki” i „Życia Literackiego” z dopiskiem „Rzecz, którą nie ja powinienem być napisać”. Chodzi oczywiście o „Sytuację pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku”.

Wszystko, co pisze Sandauer, nie pozostaje obojętne: wzbudza tyleż akceptacji, co sprzeciwów, a czasem wręcz nieodpowiedzialnych ataków na autora. Jednak nikt nie może pościć Sandauera o powierzchowność, zaciętość, czy niekompetencję. I ta książeczka wywoła zapewne spory, bowiem jej tematyka, choć jest zaledwie próbą naświetlenia udziału polskich Żydów w kulturze ogólnonarodowej, dla wielu będzie zaskakującym odkryciem.

Artur Sandauer: O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku. Czytelnik 1982. Stron 98. Cena 50 zł.

### ZNAĆ ŻYCIE

Otrzymałmy kolejny tom szkiców Michała Radgowskiego, wieloletniego felietonisty „Polityki”. Są to szkice napisane w czasie od lutego 1979 do kwietnia 1981 i były zamieszczane w wspomnianym tygodniku.

Książka ukazała się w czytelnikowskiej serii „Biblioteka satyry”, co mylnie określa jej wartość sugerując, że są to jakieś kawałki do

## Z półki recenzenta

śmiechu. Otóż nic z tych rzeczy, a jeśli nawet się uśmiechamy, jest to uśmiech ironiczny, czasem bolesny. Oto próbka, a rzecz dotyczy okresu propagandy sukcesu. Otóż wojewódzki komendant MO w Katowicach, na pytanie, dlaczego film o Marchwickim, głośnym przestępcy, został wyświetlony dopiero w pięć lat po procesie, odpowiedział: „Wychodzą bowiem z założenia, że z tego samego rejonu nie mogą się wywodzić głośni działacze i tego typu przestępcy”.

Samo życie!

Michał Radgowski: Znać życie. Czytelnik 1982. Stron 316. Cena 90 zł.

### WSPOMNIENIA PEDAGOGA

Mieczysław Woźniakowski, mimo iż od dawna zakończył czynne życie zawodowe w szkolnictwie, nadal pozostaje wierny swojej pasji. W wydanej właśnie książce-pamiętniku „Było i tak i siak” wspomina o pierwszych dniach w wywołanej Łodzi, o początkach odrodzonej szkoły, o pierwszych Kojach Naukowych, o harcerstwie, o Związku Walki Młodych, o zawiązywaniu się zespołów scenicznych, o Teatrze Wojska Polskiego, o organizowaniu Związku Nauczycielstwa Polskiego... Jednak przede wszystkim jest to książka o ludziach: wspaniałych patriotach, oddanych polskiej szkole nauczycielach, o tych wszystkich, którzy w trudnych latach obudowy kładli podwaliny pod łódzkie szkolnictwo.

Książka obejmuje lata 1945–1950 i jest drobiazgową, ale także ciekawą, kroniką tamtych odległych czasów. Wartością dodatkową są archiwalne zdjęcia, fotokopie dokumentów, świadectw szkolnych, a także cytaty zarządzeń i aktów prawnych wydawanych przez ówczesne władze oświatowe.

Mieczysław Woźniakowski: Było i tak i siak. Wyd. Łódzkie. 1982. Stron 289. Cena 60 zł.

### PONOWNIE MAREK HŁASKO

Rok bieżący zapowiada się przebiegać pod znakiem Marka Hłaski. Jeszcze nie ustały gonyty za „Sonatą marymoncką”, a już Wydawnictwo Literackie rzuciło na rynek księgarski jego „Namiętności” w serii „Polskich opowiadań współczesnych”. Napisałem rzuciło, co jest jawną przesadą, już raczej kapnęło, bowiem dwudziestotysięczny nakład w dzisiejszej sytuacji nie ma szans pojawienia się na przyślowych ładach.

W zbioru umieszczono pięć opowiadań: „Pierwszy krok w chmurach”, „Krzyż”, „Namiętności”, „Petle” oraz „W dzień śmierci Jego”, rzecz napisaną w 1962 roku i u nas szerzej nie znaną.

Cieszy fakt powrotu pisarza do świadomości czytelniczej, cieszy tym bardziej, że od 1958 roku było o nim w kraju głucho. Teraz Hłasko powraca na należne mu miejsce, jakie wyznaczyła dlań historia.

Marek Hłasko: Namiętności. Wyd. Lit. 1982. Stron 172. Cena 50 zł.

### PRZED ODLOTEM

Wydawnictwo Łódzkie, reklamując tę książkę, napisało m.in., że zebrane w niej utwory „charakteryzuje głęboki humanizm, znajomość ludzi i ich problemów”. Jest w tym sporo przesady: zawartość publikacji wywołuje różne uczucia: od akceptacji, przez obojętność, do zniechęcenia. Najlepszy, moim zdaniem, jest cykl „Ze Wschodu i z Zachodu”: autentyczny, przesycony realizmem i realiami, z próbkami języków rosyjskiego, białoruskiego i ukraińskiego. Dobrze są opowiedziane „Przeżyte i zasłyszane”. Natomiast nie przekonują mnie „Małe opowiadania”, które mają być liryczne i refleksyjne, a są czasem zaledwie szkicami, zapiskami w brulionie, tworzywem, z którego mogłyby powstać w przyszłości ciekawe opowieści.

Jan Adamski: Przed odlotem. Wyd. Łódzkie 1982. Stron 212. Cena 40 zł.

# wirydarz poetycki

Zbigniew Adamski

(Konopnica)

## Kobiety i mężczyźni

Kobiety i mężczyźni  
co weszli bez słowa  
w swoje ciemne ogrody  
nie zaznają szczęścia

Kobiety i mężczyźni  
których krzyk radosny  
nie rozszedł się po ziemi  
wiedzą  
że pozostaje im tylko  
ta latarnia bólu  
której promień  
wciąż pelga  
w zakamarkach frenie  
aby wyluskać  
nie istniejący cień.

## Jeszcze jeden dzień

Odwrociłem dzień  
do góry nogami  
i postukałem w dno  
ziemi.  
Na misie nieba  
wypadły  
jak martwe wróble  
maski zyciowych,  
niepełnione plany.  
Radośnie brzękała  
srebrna grudka trudu  
i  
podstawiłem śpięźnie dłonie,  
aby uchwycić  
pocałunek mego syna  
na dobranoc.  
O jeszcze jeden dzień  
bogatszy  
próbuję w śnie wygrzebać  
jamę bezpieczną  
dla mych kłesk i skarbów.

Wacław Krakowski

(Łódź)

## Buntu łódzkiego rok 1892

Sto ciał na ulicach martwych leżało  
jako sto armat  
z wystrelonym gniewem  
wszystkie

sto trumien na ementarze niesiono  
jako sto transparentów  
krwią zapisane  
robotniczą

w stu grobach pamięć złożono  
jak kapitał na procent  
w stu bankach  
łódzkich

Łódź 1980 r.

## Staruszków

### szczęście nieznane

Dorobili się odcisków na dłoniach i łódzkich  
wspomnień które jak zdjęcia długo noszone  
przy sobie zdążyły się pogiać i zatrzeć.  
Gdyby nie wyprowadzili się z rozpadającego  
się w niepamięć domu, nie zdążyliby nawet  
posiedzieć w pokoju z żyrandolem,  
wykradającym

spód kościelnego sufitu przedtem.

I pomyśleć — śpieszą donikąd wytrwale.

Łódź 1981 r.

Magdalena Kowalczyk — debiut

(Łódź)

☆☆☆

Ale jest przecież coś poza tym  
Co się we mgłę wieczornej kryje  
I szarym świtem nam zagłada  
Do smutkiem spopielałych oczu  
Ale jest przecież coś poza tym  
Co ciepłą dłonią chwytą w locie  
Pełne rozpaczny nagłej myśli  
Wykwitające zę zwątpienia  
Ale jest przecież coś poza tym

☆☆☆

A ona tam tkwi  
I papierosa drżącymi rękoma zapala  
Cholera jak długo to trwa  
Circe bezwzględna  
A grunt pod nogami nabiera miękkości  
Dlaczego on jeszcze nie przychodzi  
Minuty skapują ciężkimi kroplami  
Na stężone oczekiwanie  
Co ją tu do diabła przyniosło  
Nienawidzę zalewa i strach  
Z determinacją sięga po kieliszek  
By uciszyć podejrzenia  
Miota się w sobie  
Gryzie preły swej klątki  
Spięta niepewnością i pożądaniem  
Potworną agrafką własnej podłości

Barbara Bianek

(Pabianice)

## Orfeusz

Był sam.  
Walły się góry.  
Siedział na kamieniu  
i patrzył,  
nucąc piosenkę  
Orfeusz z kamienia

## Czarny koń

Czarny koń  
kałupie w noc,  
przez witraże pajęczę.  
Czarny koń  
strąca gwiazdy  
w morską otchłań snu.  
Czarnego konia  
zaprzęga  
do wielkiego wozu.  
Wielka Niedźwiedźca  
czai się w mroku,  
chce konia pożyć.  
Wielki wół dzwoni  
kołami  
po Mlecznej Drodze.

## Gorzki smak miłości

Wyjść na spotkanie  
minionym dnem.  
Zagubiona w labiryncie  
szarzeń,  
nagle w twarz spojrzę  
swoim snem.  
Zamknięta  
wśród dawnych przerażeń  
i więzi,  
nie mam kłębka  
Ariadny,  
żeby wskazać drogę  
na wolność,  
w gorzki smak  
miłości



Rys. Z. Pionk

Rada Państwa nadała 19 uczonym tytuły profesora zwyczajnego, a 81 — profesora nadzwyczajnego.

Spółród łódzkich uczonych nominacje otrzymali: profesora zwyczajnego sztuk plastycznych — Stanisław Fijałkowski w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, profesora nadzwyczajnego nauk chemicznych — Julian Chojnowski w Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN, nauk medycznych — Zofia Danilewicz-Styslak w Akademii Medycznej, Tadeusz Jedrzejewski w Akademii Medycznej, sztuki muzycznej — Zbigniew Szymonowicz w Akademii Muzycznej.

W ubiegłym tygodniu rozpoczął się w mieście Porto, w północnej części Portugalii III Międzynarodowy Festiwal Filmu Fantastycznego. Uczestniczy około 70 filmów z 20 państw. Wydarzeniem festiwalu jest film „Xtro” Harry Bromleya Davenporta z Wielkiej Brytanii. Polska kinematografia reprezentuje „Opętanie” Andrzeja Zulawskiego.

W sobotę rozpoczął się XXIII Festiwal Telewizyjny w Monte Carlo. W konkursie tegorocznym Telewizję Polską reprezentują dwie pozycje: Odcinek serialu „Jan Serce” pt. „Mgiewka” w reżyserii Radosława Piwowarskiego oraz film dokumentalny Romualda Dobrzyńskiego „Uratować Kraków”.

Po dwóch dniach nastąpiła inauguracja następnej imprezy telewizyjnej w Monte Carlo: otwarcie międzynarodowych targów telewizyjnych TVP przedstawia na targach 63 pozycje prezentowane przez PHZ „Poltel”. Są to serie, pojedyncze filmy fabularne, dokumenty, pro-

# Kronika kulturalna

gramy animowane oraz propozycje z dziedziny muzyki.

Nakładem Towarzystwa Miłośników Ziemi Bielsko-Bialskiej ukazuje się blisko czterech wieku „Kalendarz Beskidzki” nawiązujący do tradycji śląskich kalendarzy, wydawanych na Ziemi Cieszyńskiej w okresie 120 lat. Pod tym względem region nadzłaziński nie ma sobie równych w kraju. Wydawnictwo to stanowi skarbnicę wiedzy o tym regionie, dostarczając badaczom materiałów z zakresu historii, folkloru, twórczości artystycznej, ruchu śpiewaczego.

Krakowska galeria „Mały Rynek” prezentuje wystawę obrazów Mómameda Meliha Dewrina Beja — tureckiego klasyka światowego malarstwa abstrakcyjnego. Artysta, używający pseudonimu „Ne jad” wiele lat spędził we Francji, gdzie uczestniczył w większości wystaw słynnej szkoły paryskiej. Przebywał w Stanach Zjednoczonych, Chinach, Grecji, Jordani, Anglii i Danii. Od 1969 roku mieszka w Polsce.

Przed siedemdziesięcioma laty premiera „Irydiona” Krasieńskiego zainaugurował działalność Teatr Polski w Warszawie. Pierwszym dyrektorem tej sceny był jego założyciel — Arnold Szyfman.

Pamięć Szyfmana i wielu innych zasłużonych artystów TP uczczono na uroczystości jubileuszowej. Teatr otrzymał z okazji jubileuszu listy gratulacyjne od kierownictwa resortu kultury i władz miasta oraz wiele okolicznościowych depech. Siedemdziesięciolecie uczcił zespół teatru premierą „Wyzwolenia”. Wyspiańskiego w reżyserii dyrektora i kierownika artystycznego — Kazimierza Dejmka.

### KONKURS LITERACKI M. EDWARDA STACHURY

Dobrzyńsko-Kujawskie Towarzystwo Kulturalne, redakcje tygodnika „Kujawy”, „Gazety Kujawskiej” i „Ilustrowanego Kuriera Polskiego” oraz Wydział Kultury i Sztuki UW w Włocławku zapraszają do udziału w konkursie literackim im. Edwarda Stachury „Kujawskie inspiracje” w dziedzinach poezji, prozy i krytyki literackiej.

Warunkiem udziału w konkursie jest naleśanie opatrzonej godłem nie publikowanych dotąd prac literackich z adnotacją na kopercie „Konkurs literacki im. Edwarda Stachury „Kujawskie inspiracje”, w terminie do 13 kwietnia br. Do materiałów należy dołączyć kopertę opatrzoną godłem, zawierającą imię, nazwisko i adres autora.

W dziale poezji każdy uczestnik winien nadać co najmniej 3 utworów lub poemat, w dziale prozy i krytyki literackiej prace w objętości do 30 str. maszynopisu, w czterech egzemplarzach.

Wyniki konkursu zostaną ogłoszone do końca maja br.

Ogólna suma przeznaczona na nagrody wynosi 60 tys. zł w każdym z działów, na pierwsze nagrody przewiduje się sumy 10 tys. zł. Ostateczny podział dokona jury, którego skład zostanie podany do publicznej wiadomości po terminie nadsyłania prac.

Prace należy wysyłać, a także bliższych informacji zasięgnąć można w Dobrzyńsko-Kujawskim Towarzystwie Kulturalnym, ul. Piwna 4 (Czarny Spichrz) 87–800 Włocławek.

Teatr Nowy w Łodzi informuje, że w dniach 16, 17 i 18 lutego br. wystąpi gościnnie w Małej Sali TN Teatr im. Juliusza Osterwy z Górzowa Wielkopolskiego. Teatr górzowski zaprezentuje polską prapremierę scenicznej wersji „Notatek z podziemia” Fiodora Dostojewskiego. Adaptacja i reżyseria: Bogdan Michalik, scenografia: Grzegorz Małecki, muzyka: Piotr Hertel. Udział biorą: Ewa Węglarz, Bohdan Mięk i Bogumił Zatoński.

Początek spektakli o godz. 16.00 i 20.00.







## 1 Jeden dzień w Morinie

ZBIGNIEW BAJERLEJN

W głębi pokoju odpoczywa kocia rodzina. Mama kotka i trzy małe baraszkujące pocieszenie. Pochylam się i przywołuję jedno z maleństw. Zbliża się i wypina grzbiet. Biorę dzieciaka na kolana i głaszczę, ale jest niecierpliw i wkrótce rezygnuje.

— Dość! — mruzczy i delikatnie drapie mnie po ręce. Spuszczam go z powrotem. Besszelestnie wraca na legowisko, a ja dziękuję Stwórcy, że mogę się ze zwierzętami porozumieć. Inaczej nie skończyłoby się tak łagodnie.

Pół siedzę, pół leżę na fotelu, nogi oparte o blat stołu. Siedzę każde poruszenie niewielkiej naftowej lampki bujającej swobodnie pod sufitem. Wsłuchuję się w jej cichy, metaliczny jęk. Podkreśla nastroj powsechnego odpreżenia.

Dzień dogorywa, mrok i wolna ogarnia świat. Spoglądam w tę ciemność i dobrze mi. Za drzwiami jakiś ruch. Może to Teresa, moja siostra, krząta się przy kuchni? Albo też babka Antonina tka coś na krosnach?

Stukanie. Unoszę głowę.

— Proszę!

Drzwi uchylają się skrzypiąc. Wchodzi Dziadek, przygarbiony, posiwiały starszy pan o niepokojącym uśmiechu na ustach. Nazywamy go Nieśmiertelnym i jest w tym wiele prawdy. Podobno w dzieciństwie najadł się czegoś i dzięki temu taki długowieczny. Poza nim jest w naszej spóeczności zaledwie kilka tak starych osób. Czego chce dzisiaj?

— Cześć! — rusca od wejścia. — Jak się czujesz?

— W porządku... Coś poważnego?

— To zależy od ciebie. Chce porozmawiać!

Wstaje i przysuwam mu fotel. Mebel znakomicie pasuje do tego człowieka. Zżarty przez czas, ale wciąż się jeszcze trzyma. Solidny nie mniej niż Dziadek, z dobrej materii.

— Za miesiąc staniesz się mężczyzną — mówi staruszek sadowiając się na fotelu. — Wejdiesz w dorosłe życie dopiero, gdy czegoś dokonasz...

— Morina? — krzywię się. Potwierdza.

— A więc słowa babki Antoniny są prawdziwe? Czyżby zwykła się poważnie wyprawa w zaświaty? Mam iść tam, gdzie znajdują się po śmierci?

— Tak, mój miły. Pójdiesz, i to samotnie — uśmiech mego rozmówcy nie wzbudza zaufania. Dziadek sięga ręką za pazuchę i wyciąga stamtąd gruby, oprawiony w skórę tom Księgi.

— Czyżby Stwórca miał coś wspólnego z tą wycieczką? — rzucam.

Dziadek zastanawia się. Widać układa sobie w myśli słowa. Może czegoś oczekuje?

— Słuchaj — odzywa się w końcu — będziesz musiał tam pójść. Żądam pewnych wiadomości...

— Mów jaśniej, Dziaduniu, przy tobie nie jestem zbyt domyślny!

— A zatem krótko! Muszę wiedzieć, czy są tam jeszcze smoki... Rozumiesz?!

— Tak, lecz czy mogę udowodnić istnienie czegoś, co spotykamy tylko w bajkach? Nawet Księżdz nie we wszystkim można dowierzać?!

Na niebie za oknem dostrzegam Księżyc. Ej, Srebrzysty, jakże się cieszę, że znów twój blask gości w mym pokoju!... Wstaje i rozpoczynam nerwowo wędrowkę po skrzypiących deskach podłogi.

— Mass pewnie sporo racji — powiada staruszek. — Na przykład takie zdanie z Księgi: „Jesteśmy eksperymentem Stwórcy. Istniejemy dzięki Jego zabiegom”. Nie zgadzam się z tym, to jest dogmat wiary. Mogłbym udowodnić, że Księga się myli.

Nic nie pojmuję. Kapłani uznali to za herezję. Ja nie mam zdania. Nestor rodu wiele widział, ma sporo do powiedzenia.

— Oj, Dziadku — rozpoczy-

Wreszcie Dziadek raz jeszcze sięga pod piaszcz. — Mam tu coś, co będzie dla ciebie dowodem — wręcza mi okropnie starą, przybrudzoną książkę. — Poczytaj trochę i zobaczymy.

Wracam do pozycji siedzącej. Nie mam ochoty na czytanie, ale przynaglany przez towarzysza otwieram okładkę. Raczej mimowolnie niż świadomie. Na pierwszej stronie u góry tytuł: „DRAKONOLOGIA”, pod spodem uzupełnie-



Rys. Andrzej Biedrzycki

nam. — To, czemu tak zaprzeczasz, uważam akurat za fakt niepodważalny. Co innego mnie irytuje: smoki i inne istoty, których pełno w Księdze. Sądzę, że to raczej symbole stworzone przez przodków. Mają coś przekazać...

Dyskusja powoli zamiera, pozostaje niedosyt i niepewność. Gryząca, straszliwa niepewność. Zerkamy na siebie z niedowierzaniem, jakby jeden był zaledwie snem drugiego.

chwili — pójde już... Porozmawiamy, kiedy wrócisz.

Wychodzi zostawiając obie książki. Czy czegoś nie chciał, nie mógł powiedzieć? Czy milczał o czymś, co powinienem znać, aby go zrozumieć?

Drzwi uchylają się ponownie. Przez powstały otwór wsuwa się Anna, córka sąsiadów. Moja przyszła żona.

— Wejdz — zapraszam ją do środka i dodaję — idę do Moriny. Sam!

— Do Moriny? — ledwie jej to przechodzi przez usta — stamtąd tak wielu nie wróciło... I nikt jeszcze nie poszedł samotnie.

Jakaś żalost w jej głosie. Wiem, co to jest.

— Nie martw się, wrócę — uspokojam ją i usiłuję przycisnąć do siebie — Chodź, posłuchaj mnie!

— Nie, jeszcze nam nie wolno — syczy i odpycha mnie. — Dopiero jak wrócisz!

Wybiega, a ja zostaję sam. Sam na całą noc. Sięgam po Księgę. Szukam czegoś chwile, wreszcie mam!

Cytuję niemal z pamięci:

Tyle słów zostało jeszcze. Szumi morze barw, choć nie widać fal...

Zbyt głośno tu, zbyt głośno, szaleńczy ten myśli krzyk!

Dziadek tak rojno wśród tysiąca brzmień! Czyżby umierał gdzieś bliski jakiś świt, a dźwięki zbierały się na poźegnana stypę?

Czemu wśród nocy rodzi się szary błysk niepowodzeń? Czemu rodzi się przywroże biagalnego szeptu A d a m a „Dziadek, Ewo, dziadek?”

Zamykam wolumin. Coś ociera się o moje nogi? Kot! — Mleka! — domaga się pikliwie wprawiając mnie w konsternację.

— Dobrze, maleńki, zaraz przyniosę! — szepcze.

Jesteśmy obciążeni. Ja, ty, Dziadek.

Czy jeszcze istnieją? Kraja wciąga, wchłania wszystko, co tylko znajduje się u jej wrót. Czuję strach, nieprzyjemnie tu. Ze skał, z kamieni wyrastają białe, błyszczące perłowo kły. Omijam je z daleka. W mózgu pytanie, które zadałem kiedyś.

„Co to jest Morina?” „Dziecko, każdy odkrywa swą Morinę...”

„Do Moriny?”

„Powiedz babciu!”

„To Kraja Śmierci!”

Ten świat... Wspaniała Dolina, kocham cię!

Zmęczenie, ocieżalost. Świszczący oddech. Przysiadam na obłym, oszlifowanym przez czas kamieniu. Ulga, potem zawrót głowy i upadek. Coś wpełza we mnie, opanowuje moje płuca, moje członki, ciało. W głowie koluje się. To kolejna niespodzianka. Pełno ich tutaj.

— Nie bój się — mówi coś — żywię się tylko cudzą myślą...

— Kto jesteś — wrzeszcze, ale otoczenie tłumy dźwięk. Powtarzam.

— Opar! — to gdzieś we mnie, w środku.

Nie potrafię się opanować, ręce mi się trzęsą.

— Jaki opar! — krzyczę.

— Zwyczajny, istota bez nazwy.

— Odejdź!

— Dlaczego, nie ci nie będzie?

— No to kim w końcu jesteś?

— Opar!

Koniec! Zrywam się i uciekam. Był dalek stąd... Cholerne świat! Dus, otepla, może zabija

Przedem mną spore wzniesienie. A gdyby tak wejść na górę i rozejrzeć się? Pierwsze kroki szybkie, potem coraz wolniejsze. Wspinam się z trudem. Drobne i większe odłamki skalne umykają spod nóg. Gorąco, to ze zmęczenia. Wreszcie szczyt. Niezły stąd widok. Oglądam niemal kawałek Moriny. Niestety, nigdzie smoka, zaledwie dymy i monumentalne bloki kamienne. Tak, nigdzie smoka.

„Smok? Bajki!”

„Nie, kochany. Przekonasz się, jak będziesz już mężczyzną...”

„W takim razie powiedz, dlaczego tak: tu my, tam Morina?”

„Spytaj Stwórcy. Powiedzianno w Księdze: nie za darmo. Te dwa światy wzajemnie się uzupełniają...”

„Myślisz, że jedna strona gór daje coś drugiej i nie bezinteresownie?”

„A czemu nasze pola są żyźne, wody zdrowsze, życie bujniejsze? Dlaczego niektóre przyniesione stamtąd minerały, drobno pokruszone i rozrzucone po polach, dają większy urodzaj?”

„Pojmuję, ale co my możemy zaoferować tamtej stronie?”

„Nie wiem... Spróbuj to kiedyś zbadać.”

Coś ciekawego dzieje się na dole. Widzę tylko ruch. Tam, w odległości tysiąca kilometrów, rysuje się jakiś niewyraźny, opływowy kształt. Zadnych konkretnych szczegółów, za to ruch coraz szybszy. To coś oddala się. Czyżby uciekało? A jeśli to?... Niełatwo podjąć decyzję. W końcu ruszam w tym kierunku. Biegnę nie patrząc pod nogi. Pedzę co sił, nie spostrzegłszy nawet braku plecaka.

Niewielka równina na pozór wolna od wszelkich niespodzianek. Nie obawiam się potknięcia. To coś jest ogromne i dzięki temu powolne. Tak mi się przynajmniej wydaje. Dosięgnę i dogadam się. Dlatego trzeba jeszcze żyć!

„Co to takiego smok?”

„Potwór, kochanie!”

„Widziałas go?”

„Nie... Są tacy, co widzieli.”

Błyskawice rozcinają mrok. Daleki grzmot, potem coś jak ryk huraganu. Grzaski podmokły grunt. Bąble powietrza wydobywające się spod ziemi. Brunatny, śmierdzący siarką deszcz. Odwrotu już nie ma. Oglądam się do tyłu: tam góry. Tam granica — za nią jest Dolina i moje życie.

„Masz już osiemnaście lat? Wybacz, zapomniałam!”

„Naprawdę?”

„Gratuluję... Zyczeń odejścia nieśmiertelnym, będą ci wdzięczni.”

„Nie rozumiem?!”

„...może, kiedyś ktoś powie ci to samo i ucieszysz się.”

## Zamierzenia wydawnicze 1983

Odpowiadając na liczne listowne prośby czytelników rozpoczynamy dziś publikację list, które należałoby zatytułować: „Co w zasadzie powinno się ukazać w 1983 roku”.

Dlaczego „w zasadzie”? Kierując się doświadczeniem lat ubiegłych można śmiało stwierdzić, że zamierzenia te zostaną w bieżącym roku zrealizowane co najwyżej w 50 proc. Zjawisko „poślizgów wydawniczych” na stałe weszło do naszego życia.

Poniższe listy obejmują przede wszystkim pozycje przewidziane na rok 1982 plus to, co przewiduje się na rok 83.

Dziś pierwsze wydawnictwo: „Iskry”, a w kolejnych numerach wszystkie pozostałe.

Jeszcze słów kilka o stosowanych oznaczeniach:

Po lewej stronie: SF — fantastyka naukowa

F — fantasy

WF — fantastyka grozy

FJ — fantasy dla młodzieży

SFJ — fantastyka naukowa dla młodzieży.

Natomiast po prawej stronie jedynym symbolem wyznaczającym wyjaśnienia jest (FP). Oznacza to serię „Iskier” — „Fantastyka — Przygoda”.

Wykazy opracował Marek S. Nowowiejski, wnklkliwe studiując „Zapowiedzi wydawnicze” oraz drogą bezpośrednich rozmów z wydawcami.

MD.

### ISKRY

SF 1. Brian W. ALDISS — Cielplarnia (FP)

SF 2. Brian W. ALDISS — Kto zastąpi człowieka? (FP)

FJ 3. Zbigniew BATKO — Z powrotem, czyli Fatalne skutki niewłaściwych lektur.

SF 4. Kiryl BULYCZOW — Miasto na górze (FP)

SF 5. Kiryl BULYCZOW — Retrogenetyka (FP)

WF 6. Cień krokodyla (antologia).

SF 7. Constantin CUBLESAN — Trawa (FP)

F 8. Konrad FIAŁKOWSKI — Adam, jeden z nas

F 9. Aleksander GRIN — Biegnąc po falach (wyd. 5)

Nie-SF Ursula K. LE GUIN — Zewsząd bardzo daleko

SF 10. Stanisław LEM — Astronauca (wyd. 9) (FP)

WF 11—13. Nie czytać o zmierzchu (zeszyty)

SF 14. Bohdan PETECKI — Pierwszy Ziemięlin (FP)

SF 15. Bohdan PETECKI — Strefy zerowe (wyd. 2) (FP)

SF 16. Bob SHAW — Kosmiczny kalejdoskop (FP)

SF 17. Jan SOBOLEWSKI — Okno nad światem (FP)

WF 18. Strefy z dreszczykiem (Strofy o...)

SF 19. A. i B. STRUGACCY — Miliard lat przed końcem świata (FP)

SF 20. A. i B. STRUGACCY — Żuk w mrowisku (FP)

F 21. J. R. R. TOLKIEN — Hobbit (wyd. 2)

F 22. Amos TUTUOLA — Smakosz wina palmowego.

c.d.n.

Opr. M.S.N.

# KOLUMNA AJENCYJNA

## Pamiętnik intymny 3

15 STYCZNIA

Wczoraj znów zepsuła się winda. To już piąty raz od kiedy tu mieszkamy. — Panie — oświadczył mi pracownik administracji — gdybyśmy uruchomili ją od razu, a nie dopiero w dwa tygodnie po wprowadzeniu się ludzi, na pewno zdążyłaby już zepsuć się co najmniej dziesięć razy. Przecież wszyscy woziliby nią meble! — A nie wolno? — Panie, to jest dom mieszkalny, a nie magazyn meblowy. Trzeba się trochę zastanowić...

Całe szczęście, że nie mamy zbyt dużo gratów, ale i tak było co nosić. Na doleściowa pilnowała rzeczy wyładowanych z samochodu, który nie mógł czekać, w mieszkaniu dyżurowała Małgosia, a ja pół dnia kursowałem na trasie parter — siódme piętro. Zrzuciłem chyba że dwa kilogramy. Sąsiad z dziewiątego zrzucił podobno pięć i pół. No, ale nie ma się co dziwić: dwa regały, kanapa z fotelami, trzy szafy przedpokojowe... Mówił, że wszystko dopiero do kupione. Ciekawe, kto mu w to uwierzy? — powiedziałem resztkami sił, gdy już wszystkie graty i zmarniętą na kość teściową wnieśliem wreszcie na górę. Na te słowa teściowa od razu odtańczyła: — Młody jesteś... Nie to ważne, kto uwierzy, ale — ile i komu dał? — To może nam też coś odpali, żebyśmy uwierzyli? — zartowała Małgosia. Teściowa rozgrzała się już na dobre: — Moje dziecko, gdyby tak mnie chcieli dawać, dawno już byłabym milionerką!

17 STYCZNIA

Winda już działa, za to na dwa dni odciepli dopływ ciepła. bo podłączają sąsiedni blok. Jak popatrzę na te wszystkie bloki, które dopiero zaczynają budować na naszym osiedlu, to... Antarktyda!

19 STYCZNIA

Sąsiadów z przeciwka zalało w nocy mieszkanie. Wody było pod kostki. A mówili, że przy malowaniu poczekałi co najmniej trzy lata. Nigdy nie wiadomo, co jeszcze wylezie. Ale pal sześć ściany — jak oni wysuszą tą wykładzinę, przyklejną na amen do podłogi i co z niej zostanie? Rano przyszedł hydraulik z administracji i powiedział — jak zrelacjonowała mi Małgosia — żeby się nie przejmować, bo awaria jest drobna: puściła gumowa rurka doprowadzająca wodę do baterii w łazience. I rzeczywiście — wymienił rurkę w dziesięć minut. — Jeszcze nie widziałem bloku na tym osiedlu, żeby kcmuś nie zalało — dodał na odchodnym. — A wykładziny nie musi pani już prać. Nie ma tego złego... he, he, he...

20 STYCZNIA

Nigdy nie czytałem instrukcji obsługi w windach, bo przecież sprawa jest banalnie prosta: otwieram drzwi, naciskam odpowiedni guzik i jadę Bład! Dzisiaj rano, zupełnie mimowolnie spojrziałem i co widzę w klatce naszej windy? — Instrukcję obsługi dźwigu osobowo-towarowego. Jak można było do tego dopuścić? Przecież to budynek mieszkalny!

### TRUCIE PLUSWKY

Jak teści ukrywające się w kryzysie pluskwę, radzi „Zielony Sztandar”. W tym celu spodki z amoniakiem wsuwa się głęboko pod meble, żeby nie wylać przy sprzątnięciu, a uczulone na amoniak pluskwy dostają paraliżu nerwów i giną w szparach. Chłop przeżywa, gdyż na amoniak uodpornił się w chlewie, paraliżu nerwów dostaje po dzienniku wieczornym, jak z tego wszystkiego musi lyknać pieprzówki.

### MAJTKI W GMINIE

Przydzielone na gminę pięć par gumiaków naczelnik kazał sprzedać sołtysom, natomiast deficytowe ręczniki przyznał szkole i urzędnikom, żeby choć nauczyciel miał czyste ręce, a władza mogła je umyć jak zwykle. Korespondent „Gromady — Rolnika Polskiego” zastanawia się, komu też naczelnik przydzielił damskie majtki i papier toaletowy. Wiadomo malarsce na drabinię w SKR oraz weterynarzowi, bo ma brudną robotę.

## WYCINANKI

### OSWAJANIE ŚWINI

„W ostatnich dniach przed wyproszeniem maciory hodowca wintem często wchodził do kojca — radzi „Chłopska Droga” — by pogłaskać maciorę, lekko podrapać ją po grzbiecie. Chodzi o to, by maksymalnie oswoić ją z obecnością hodowcy w kojcu”. W ten sposób można zagłaskać świnię na śmierć, zaś oswojony hodowca zacznie własną pierśią karmić potomstwo.

### SWATY

Na wschodzie Polski szczęśliwie małżeństwa rolników dyskretnie kojarzy „Arka Noego”. Młodzi wchodzi na pokład, kapitan zamyka łeb w zwierzyńcu, gdzie macając jakowiznę, wymieniają poglądy na hodowlę i kojarzą się naturalnie pośród rżenia koni i beczących owieczek.

### WYSZCZUPLANIE

TKKE „Ciepliec” z Jeleniej Góry poleca rolnikom korespondencyjnie atrakcyjne ćwiczenia wyszczuplające, albo kulturystyczne, każdy komplet za 120 zł. Gdy brak widel do ćwiczeń gnój — fura — ziemia, odchudzaniem apasionych chłopów muszą się zająć fachowcy.

### KALENDARZ ZARODOWY

Kiedy krowa lub świnią wydaje się za mąż, rolnik zdiera kartkę z kalendarza, przykleja białkiem do ściany obory i spokojnie czeka porodu. Żeby było erotycznie, firma polonijna „SCANPRODUCT” wysłała na wieś kalendarze bez kartek, ale za to pełne nagich bab w pozach fikusnych. Teściowe nie dają tego trzymać w izbie, więc rolnik wieszka w oborze, patrzy, a krowy zachodzą.

(rb)

## Super bazar Radio Łódź

W związku z nagrodą „Diamentowego Siatka” uzyskaną przez słynny duet mikrofonowy Nul i Full — Agent zdecydował się, w odpowiedzi na brak postulatów, uruchomić Stoisko Foniczne celem prezentacji.

W zamian Duet Nul i Full prezentuje Agenta. Odbędzie się to w swoim czasie na falach ultrakrótkich w paśmie 88,51 MHz. W ten sposób ukontentowani zostaną Ci, którzy nie mogą słuchać i Ci, którzy nie mogą czytać. Życzymy udanych zakupów.

### FORSZPAN

Na pierwszym i ostatnim posiedzeniu Zespół dokonał wyboru. Zastosowano popularnego „marnarza”. Pierwszy ładujący za butrą powitany został okrzykiem: pre-zes, pre-zes, pre-zes... (Do wyciszenia).

### SERWIS AGENCJI WUPE-SIM

W Łodzi powstaje Bank Informacji. Dyrektor placówki zeznał, że Firma wie gdzie, co, jak, kiedy, komu i ile. Nowe propozycje przyjmowane będą na hasło. Hasło otrzymać można po podaniu informacji. Szczegóły pod numerem telefonu 284-80 od 15 do 16.

Miejscowy Oddział Federacji Konsumentów skierował pozew przeciwko Naczelnikowi. Źródła zbliżone do dobrze poinformowanych donoszą, że pozwany pobiera opłaty za zwiedzanie



Nasz drogi Czytelnik, Zenon S. przyniósł do redakcji zdjęcie pani Bożenki, której jest wielbicielem od niedawna, jak oświadczył. Następnie przyjrzał się zdjęciu, poprosił o nożyce i uciął sporą część fotografii...

Pan Zenon twierdzi bowiem, że nie jest wielbicielem pani Bożenki ani bloc, a jedynie fragmentu pani Bożenki. Cała reszta interesuje go średnio bynajmniej!

Prosi zatem o zamieszczenie fragmentu pani Bożenki, tego fragmentu, który — jego zdaniem — jedynie zasługuje na uwagę, a w przypadku pana Zenona, naszego drogiego Czytelnika, zasługuje nawet na uwielbienie.

Pan Zenon przy okazji wyjaśnił nam, że nie jest cichym wielbicielem. Takie określenie jest anachronizmem — stwierdził. Pan Zenon jest wielbicielem fragmentu pani Bożenki głośnym. Nawet bardzo głośnym — dodał.

Prośbę pana Zenona spełniamy. Nasz klient — nasz Pan!

Za tydzień — rewelacyjne zdjęcie panny Zuzi na plaży!

## Radio na kolumnie ajencyjnej — agent w radio!

Na ostatnim posiedzeniu kolegium redakcyjnego kolumny ajencyjnej zapada jednogłośnie decyzja ajenta, b. Nacz. Wydz. sponianicnie poparta przez cały kolektyw b. Wydz., aby rozszerzyć działalność ajencji. Szukamy mianowicie nowych, audiowizualnych form wyrazu. Projekt wzięcia w ajencję łódzkiego ośrodka telewizyjnego spał na panewce — w Radiokomitecie jak wiadomo nie ma prezesa i nie było z kim przeprowadzić pertraktacji. Również szef łódzkiej telewizji, red. Michał Walczak odmówił jakichkolwiek rozmów na temat przejęcia studia. Zrobił to w formie ostrej i stanowczej. (Zainteresowani mogą znaleźć te ostrze i stanowcze sformułowania w protokole sporządzonym na okoliczność).

Bardziej skora do współpracy okazała się łódzka rozgłośnia radiowa. Spokaliśmy się tam nie tylko z życzliwością, ale także z naszym starym znajomym, niejakim Działkiem Włodkiem. Nawiazaliśmy braterskie kontakty z kabaretem radiowym „Super Bazar”. Dziś prezentujemy pierwsze plony współpracy — na naszych łamach gościnnie Super Bazar Radio Łódź!

Witrośce współpracę antenowa. Czytelnicy i Słuchacze! Już niebawem, bo 15 lutego! Agent w programie kabareta radiowego „Super Bazar”!

W planach na dalszą przyszłość — spółka polsko-polonijna, produkcja masowa, High Quality! Wsad dewizowy — cinkciarz Lola i doktor nauk technicznych, obecnie produkcja plastikowych gadżetów, Jan Fluco-serce!

Placu Wolności w godzinach pracy. W najbliższych dniach oczekuje się losowania obrońcy.

Mer miasta ostatnio zwiedził. Był zaskoczony. My też.

W Dzielnicy dokonano otwarcia. Opinia Publiczna czeka na zamknięcie. Była to ostatnia wiadomość, która zesłała z taśmy Telepisu.

W cyklu naszych cotygodniowych wywiadów pod hasłem: „zamienie szare na zielone” „ROZMOWA Z ZASŁUŻONYM MISTRZEM”

Reporter: Otrzymał pan medal za „szczególne osiągnięcia na polu sportowym”.

Zasłużony: Za pierwsze Prezesa uprawiałem plotki.

Rep.: Biegał pan? Zasi.: Stawiałem. Ogrózenie daczy w jeden dzień.

Rep.: Piękny wynik. Zasi.: Drugi prezes namówił mnie na ciężary.

Rep.: I znów sukces? Zasi.: Tona węgla w jedno popołudnie.

Rep.: Trzeci, o ile wiem, był szachista?

Zasi.: Robiłem za Konia. Panie, co ja się naskakałem. Ale się przydało.

Rep.: Teraz mamy nowego Pre...prezesa. Czekają mistrza kolejne zadania...

Zasi.: Medal zobowiązuje. A tak prywatnie powiem panu, że Nowy najbardziej lubi oszczędzać. Może zacznie ode mnie.

Rep.: Dziękujemy, do usłyszenia za rok.

Zasi.: Myślę, że to potrwa dłużej.

### OGŁOSZENIA I KOMUNIKATY

Nieustający, błyskawiczny konkurs otwarty, dla zawodowców i amatorów.

„CO MOŻNA KUPIĆ ZA ZŁOTOWKĘ”

(słownie: Jeden złoty)

Nagrodę — Symboliczną Złotówkę — przesyłamy za zaliczeniem pocztowym.

Nie kupię, nie sprzedam, nie zamienię. Dajcie mi święty spokój. Oferty gdzie kto chce.

### ODPOWIADAMY SŁUCHACZOM

(Czytelnicy nas nie pytali) ZWIS, INFLACYJNY jest to zjawisko awersyjne wobec NAWISU INFLACYJNEGO. Nie mylić z DEFLACJĄ.

Rozróżniamy ZWISY: koryncki, rzymski i paryski. Objawami typowymi dla wymienionych są: dekonstrukcja i apatia nabywcza.

Planowany eksperyment dowiedzie, że ZWIS INFLACYJNY jest schorzeniem uleczalnym.

### DOPISY

„Do wyciszenia” — wskazówka dla reżysera. „WuPePeSIM” — Wiadomości Przesłane Przez Siatko Mikrofonu.

„Zapis dźwiękowy” — taśma. „Forszpan” — farsz dźwiękowy.

## PROSTO Z GŁOWY

### Proste pytania

1. Za moich młodych lat różne środowiska miały swoje kodeksy. Miał swój kodeks złodziej i policjanci, żebracy i pieczeniarze, Żydzi i cykliści, a także inteligenci, socjaliści, arystokraci, urzędnicy państwowi, kupcy, Cyganie, a nawet przedstawiciele władz najwyższych. Te swolste zbiory praw były dosyć rygorystycznie przestrzegane i człowiek wiedział czego od kogo może się spodziewać.

2. Przed wojną znałem na Nowolipkach pewnego młodego Żyda. Nazywał się Goszyner i miał popularny wśród Żydów zawód: kręcił się.

Dla mnie i moich kolegów załatwiał czasem jakieś małe sprawy. Niestety, trzeba było uważać, bo oszukiwał przy tym nagminnie.

Kiedy zwróciłem się do niego z pretensjami.

— Oszukany goj to zasługa w Boga, a ja jestem bardzo religijny — powiedział Goszyner.

3. Pod koniec lat trzydziestych poznałem stójkowego Kusika. Przyprował skradzioną spanielkę, do której byłem bardzo przywiązany. O złodzieju stójkowy powiedział. — To porządny złodziej. Mało kradnie i łatwo go złapać.

Ow złodziej był po prostu fałtłapa. Kradł mało, gdyż nie potrafił więcej i w środowisku złodziejskim uchodził za ostatnią lachudrę, w czym dokumentalnie objaśnił mi nasz stróż Alfred.

4. Stójkowego Kusika spotkałem po wojnie. Jako syn malarzowski chłopca, szedł do góry po stopniach awansu w dziedzinie propagandy.

Okazał się człowiekiem bystrym — stary system ocen zastąpił nowym — piętnował małych złodziei, gdyż do wielkich i tak nie potrafił sięgnąć. Czy o to jednak chodziło?

5. Na początku lat pięćdziesiątych spotkałem przypadkowo na ulicy, przedwojennego inteligenta pracującego, pana Pełkę.

Był to człowiek porządny i sympatyczny, więc ucieszyłem się szczerze. Pan Pełka krzyknął na moje powitanie: „Niech żyje sojus robotniczo-chłopski!”, rozjeździł się i ujrzałszy grupę panów w jesionkach krzyknął jeszcze głośniej: „Budujemy Nową Hute!”, po czym wciągnął mnie do bramy.

Ani rusz nie potrafił się rozcznąć w obowiązującym właśnie małym kodeksie, a przed tygodniem wrócił z przyspieszonego kursu przystosowania do rzeczywistości.

6. Podarowałem mu wtedy krótki podręcznik samoratownictwa wodnego (Sport i Turystyka, W-wa, 1950).

Generalnie przykazanie podręcznika brzmiało: Piwaj jak chcesz, bylebyś nie utonął.

Czy tak jednak powinno wyglądać moje powitanie z panem Pełką?

7. Na podstawie powyższych danych każdy łatwo odpowie na pytanie: Ile lat ma córka stróża?

XAWERY

14 ODGŁOSY

NR 7 (1298) XY 12 LUTEGO 1983 R.



# Bronie teatru wojny

HENRYK SROCYŃSKI

## CZYM SĄ SS-20

Instalowane przed 20 laty rakiety SS-4 i SS-5 (zasięg 2.000 km i 3.500 km) stanowią dziś niezmiernie łatwy do zniszczenia cel. Przy obecnym postępie w zakresie sterowania raketami, co zapewnia bardzo dużą dokładność trafienia, wspomniane dwa typy pocisków można już określić jako „trafiające na ślepo”. ZSRR uznał więc za rzecz naturalną, że ma prawo do wymiany tych raket — głównym argumentem obronnym ZSRR jest to, iż SS-20 nie stanowią czegoś nowego, lecz tylko unowocześniony rodzaj poprzednich pocisków. Unowocześnienie polega na zwiększeniu precyzji i zasięgu tych raket (zasięg — 4,5 tys. km) oraz na wprowadzeniu wyrzutni ruchomych.

Rozpoczęta przez ZSRR w końcu lat siedemdziesiątych modernizacja arsenału raket średniego zasięgu wywołała w Stanach Zjednoczonych lawinę „ostrzeżeń”, według których Związek Radziecki szybko zdobywa przewagę na „teatrze europejskim”. Misyfikacja, którą zwłaszcza Stany Zjednoczone posługują się w porównaniach potencjałów obydwu stron w Europie, zachęca też wielu wybitnych specjalistów do sporów i polemik na łamach prasy.

Według różnych ocen pociskom radzieckim Europa Zachodnia przeciwstawiła (w porównywalnych systemach broni), 64 pociski „Polaris”

A-3” znajdujące się na angielskich okrętach podwodnych (te pociski mogą przenosić trzy głowice na odległość 4,5 tys. km), 400 amerykańskich pocisków „Posejdon” będących do dyspozycji NATO oraz 64 pociski o zasięgu 1.700 km, umieszczone na francuskich okrętach podwodnych. Pocisków „Posejdon” nie można uważać za przestarzałe, gdyż są one w gotowości bojowej od 1972 r.; zasięg każdej z tych raket wynosi 4,5 tys. km, a ładunek zawiera 14 głowic niezależnego naprowadzania.

Bez względu na to, gdzie przebiegają łodzie podwodne, na Morzu Śródziemnym, Północnym, czy w innych rejonach Atlantyku, „Polaris” i „Posejdon” są w stanie osiągnąć każdą część europejskiej części ZSRR; na obszarze do Uralu znajduje się mniej więcej połowa radzieckich najważniejszych miast i przeważająca większość lotnisk. NATO posiada więc możliwość, dzięki właśnie pociskom na wyrzutniach ruchomych i głowicom wielocelowym, wyrządzić ZSRR poważne szkody, a w tym zagrozić jego potencjałowi raket starszego typu.

„EURORAKIETY” to broń jądrowa średniego zasięgu (od 1.000 do 4.500 tys. km) służąca do rażenia celów strategicznych w głębi terytorium przeciwnika. Ten system broni określany jest także „siłami jądrowymi teatru” (Theater Nuclear Forces, TNF) i służy, według najnowszej doktryny strategii wojennej USA, do pierwszego uderzenia, którego celem przede wszystkim powinno być „pozbawienie głowy całego politycznego i wojskowego kierownictwa potencjalnego przeciwnika”.

Rakiety średniego zasięgu mogą posiadać po kilka lub nawet kilkanaście głowic, z których każda jest niezależnie naprowadzana na cel. Bronie TNF mogą być odpalane z wyrzutni stałych i ruchomych, z łodzi podwodnych i samolotów. Do tego systemu jądrowego zalicza się również skrzydlate rakiety „Cruise” startujące z wyrzutni naziemnych, z samolotów i łodzi podwodnych.

Środki nuklearne średniego zasięgu niewiele się różnią od środków strategicznych pod względem skutków ich zastosowania. Moc niektórych głowic bojowych raket TNF może być zbliżona do mocy raket międzykontynentalnych.

Według wydanej w ub. roku przez radziecki Komitet Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie broszury, zatytułowanej „Zagrożenie Europy”, potencjały obydwu stron na naszym kontynencie są mniej więcej wyrównane; każda ze stron ma po około 1000 nosicieli broni jądrowej o podobnych możliwościach.

Na arsenal radziecki składają się rakiety SS-20, SS-4 i SS-5 oraz bombowce średniego zasięgu. W NATO potencjał ten obejmuje ponad 700 amerykańskich samolotów bombardujących i myśliwców bombardujących FB-111, F-111, F-4 i A-6, które stacjonują w Europie oraz broń jądrową Francji i Wielkiej Brytanii — 300 jednostek.

## CZYM SĄ PERSHINGI II I CRUISERY

Pershing I, który od wielu lat jest na uzbrojeniu państw NATO, ma zasięg 720 km, zaś jego nowa wersja, Pershing II, będzie w stanie osiągnąć cel na odległość 1.800 km. Celność trafienia nowej rakiety została wybitnie poprawiona, wyposażono ją bowiem w nowoczesny system kierowania lotem. (Pociski te znajdują się w fazie prób).

Cruisery są jak gdyby samolotami pilotowanymi automatycznie — lecą na wysokości 100 — 150 metrów tj. poniżej zasięgu fal radarowych. Skrzydlate pociski Cruise są sterowane przez minikomputery; podstawą programu jest rzeźba terenu, nad którym ma się odbywać lot. Rakiety tego typu posiadające zasięg 2,5 tys. km trafiają w cel z niezwykłą dokładnością; niekiedy pole trafienia wynosi kilka metrów.

Z raketami Pershing II i Cruise wiążą się zwłaszcza dwa poważne niebezpieczeństwa. Po pierwsze — zasięg tych pocisków i ich wielka precyzja mogą postawić w stanie zagrożenia centralny radziecki arsenał atomowy, w tym rakiety balistyczne objęte porozumieniami SALT. Cała więc równowaga strategiczna między obydwoma stronami może stanąć pod znakiem zapytania. I po drugie — za projektem wprowadzenia nowych broni w Europie kryje się chęć dosięgnięcia terytorium radzieckiego z nowych, bliższych wyrzutni, które, jak wyobrażają sobie Amerykanie, mogą trafić raketami w bardzo krótkim czasie nie pozwalającym przeciwnikowi na podjęcie kontrdziałań. O ile bowiem w przypadku rakiet międzykontynentalnej czas lotu pocisku trwa około 30 minut, to Pershing II na przebycie drogi do celu będzie potrzebował tylko od 4 do 6 minut. Ale z tym wiąże się niezmiernie ważny problem. Otóż w przypadku pomyłkowego wystąpienia rakiet balistycznej czy zbroczenia jej z kursu, istnieje dostatecznie dużo czasu na korektę toru, natomiast gdyby odpaliła rakietą Pershing wycelowana na obszar przeciwniej strony, nie starczyłoby czasu na korektę i błąd taki mógłby zakończyć się katastrofą.

Nielatwo jest poznać i przejrzeć zagadkę „eurorakiet”. Wiąże się z nią bowiem nie tylko gra liczb, ale i strategia oraz militarno-polityczne tło całej kwestii. Wcale jednak nie potrzebne jest zgłębianie tych tajemnic dla stwierdzenia, że „eurorakiety” kryją w sobie potencjalne wielkie niebezpieczeństwo dla naszego kontynentu.

Stoimy właśnie wobec niepokojącej skłonności Sojuszu Atlantyckiego do zainstalowania w Europie 108 Pershingów II i 464 Cruiserów. Ma to „wyrównać siły”. SS-20 rzekomo zachwiałoby tę równowagę i Rosjanie mogą teraz dominować nad Europą. „Jeśli chodzi o korzyści polityczne, które ZSRR może osiągnąć dzięki rakietom SS-20, to należy powiedzieć, że przez co najmniej 10 lat ciążyła nad kontynentem groźba radzieckich pocisków SS-4 i SS-5, groźba nie różniła się jakościowo od tej, którą stanowią SS-20, a przecież nie przydało to Moskwie korzyści politycznych, gdyż Europa wcale nie zwracała na to uwagi!” — stwierdza osoba zorientowana w sprawie, wicedyrektor Londyńskiego Instytutu Badań Strategicznych: G. F. Treverton.

## HISTORIA

Aby usytuować w odpowiedniej perspektywie polemikę jaka rozgorzała wokół dzisiejszych „eurorakiet”, warto przypomnieć etapy uzbrajania starego kontynentu w broń atomową.

O ile bomba zrzucona na Nagasaki ważyła 4 tony i wyzwołała energię o mocy 22 kiloton, to pierwszy pocisk atomowy, czyli miniaturyzowana bomba (został wyrzuty w maju 1953 r. na pustyni Nevada), miał moc nie przekraczającą kilku kiloton. Ta miniaturyzacja ładunków atomowych, a z drugiej strony budowa raket w oparciu o doświadczenia niemieckie, pozwoliły Stanom Zjednoczonym już w końcu lat pięćdziesiątych na wyprodukowanie jednostopniowych pocisków „Jupiter” o zasięgu 2.800 km, a wkrótce po tym raket „Thor” o podobnych parametrach. Z kolei został skonstruowany dwustopniowy pocisk raketowy „Atlas” o zasięgu 10 tys. km. Wszystkie trzy rodzaje raket były odpalane z wyrzutni naziemnych ustawionych na betonowych placach startowych.

Era „eurorakiet” rozpoczęła się w 1959 r. i otworzyła ją decyzja prezydenta Eisenhowera polecająca zainstalować w Wielkiej Brytanii 60 „Jupiterów” i „Thorów” oraz 30 „Jupiterów” we Włoszech i 15 w Turcji; w tym czasie nie mogło być mowy o instalowaniu raket na terenie RFN.

Wobec tego, że Amerykanie wcześniej mieli wielką przewagę w lotnictwie strategicznym — posiadali gigantyczne bombowce B-52 do przenoszenia broni atomowej — Nikita Chruszczow, jak stwierdza się w wielu publikacjach, kładąc wielki nacisk na postęp w dziedzinie sputników, jednocześnie przywiązywał dużą wagę do raket średniego zasięgu. Niemal równocześnie z amerykańskimi „euroraketami” rozpoczął Związek Radziecki instalowanie swoich wyrzutni z pociskami atomowymi. Były to pociski SS-4, a od 1961 r. pociski SS-5. Ogólna liczba raket radzieckich, jak twierdzi się na Zachodzie, osiągnęła w początku lat sześćdziesiątych 700 jednostek.

**TAKTYCZNO-OPERACYJNA BRON JĄDROWA** to głowice bliskiego zasięgu (do 1.000 km) wyrzucane przez artylerię, przenoszone przez taktyczne lotnictwo myśliwsko-bombowe lub za pomocą systemów raketowych.

Bronie tego typu przeważnie rozmieszczane są blisko ewentualnych linii frontowych. Stwarza to poważne niebezpieczeństwo, bo dowódcy wojskowi w sytuacji gdy nie będą w stanie obronić swych pozycji, mogą zdecydować się na użycie środków jądrowych.

Liczba głowic taktycznych po stronie zachodniej nie ulega zmianie w Europie od 1966 r. — tak przynajmniej twierdzi się w NATO — kiedy to McNamara ocenił ich liczbę na 7 tysięcy. Są one rozmieszczone w sieci składów na terenie różnych krajów europejskich, przy czym dwie trzecie ich przypada na uzbrojenie środków przenoszenia. Jakimi dysponują europejscy członkowie sojuszu, a jedna trzecia — Amerykanie.

W okresie konfliktu kubańskiego (1962 r.), gdy ZSRR zażądał wycofania raket z Turcji, w zamian za demontaż wyrzutni na Kubie, Stany Zjednoczone, według różnych źródeł, posiadały przewagę w dziedzinie raket międzykontynentalnych i bombowców do przenoszenia broni atomowej, podczas gdy ZSRR przeważał liczbą raket o zasięgu europejskim. Wkrótce po konflikcie kubańskim prezydent J. Kennedy wystąpił z niezmiernie szerokim programem rozbudowy amerykańskiego potencjału raket międzykontynentalnych i raket średniego zasięgu. Program ten, rychło zaaprobowany przez kongres, przewidywał budowę 1000 raket balistycznych „Minuteman”, a także trudną dziś do ustalenia liczbę raket mniejszego zasięgu „Minutemany”, które działały wybitnie destabilizująco na układ sił USA i ZSRR, pojawiły się w komplecie na wyrzutniach w 1967 r. (ZSRR posiadała wówczas tylko 460 raket balistycznych).

W związku z uzyskaniem przez USA tak znacznej przewagi w broniach strategicznych nad Związkiem Radzieckim, jak i w związku z wprowadzaniem uzbrojeniem łodzi podwodnych w rakiety, prezydent Kennedy polecił w początku 1963 r. wycofać ze starego kontynentu wszystkie 105 raket „Jupiter” i „Thor”; zastąpiły je 144 „Polarisy” o zasięgu 2000 km i 384 „Polarisy” o zasięgu 4.600 km.

Ten typ raket, jak i zmodyfikowany ich rodzaj — „Posejdon”, instalowany na podwodnych łodziach atomowych (realizację programu zakończono w 1964 r.) praktycznie wyrównał „luke” i zagroził nieruchomym wyrzutniom nie budzących zaufania i nieprecyzyjnych raket SS-4 i SS-5.

Przed trzema laty NATO podjęła tzw. podwójną decyzję: członkowie paktu zgodzili się na rozmieszczenie w Europie Pershingów II i

**RAKIETY MIĘDZYKONTYNETALNE** czyli balistyczna broń strategiczna to największe systemy broni nuklearnej. Broń ta produkowana jest w wielu wersjach. Istnieją rakiety z pojedynczymi ciężkimi ładunkami jądrowymi oraz rakiety z systemem wielocelowym, zawierającym kilka lub kilkanaście niezależnie sterowanych głowic.

Bronie strategiczne mogą być umieszczone na wyrzutniach stałych — są to głębokie i chronione pancernymi siłami lub na wyrzutniach ruchomych (projekty rakiety Mx). Najnowszą wersją broni międzykontynentalnej mają stanowić tzw. rakiety dwumocne, które osłabiłyby zdolność uderzenia rozbrajającego przeciwnika — takie rakiety wymierzone w siłowy z wyrzutniami drugiej strony, byłby w stanie uniemożliwić jej przedwczesne atakowanie.

Porozumienie SALT II wynegocjowane w 1979 r. (do ratyfikacji którego nie doszło w USA), ograniczało liczbę strategicznych nuklearnych środków przenoszenia tj. międzykontynentalnych pocisków balistycznych, samolotów strategicznych wyposażonych w bomby jądrowe oraz łodzi podwodnych z raketami balistycznymi do 2.000 (po każdej stronie).

Cruiserów, ale zgodę tę uzależnili od wyniku rokowań jakie w kwestii ograniczenia liczby „eurorakiet” podjęły Stany Zjednoczone ze Związkiem Radzieckim. Rokowania takie rozpoczęły się na przełomie października i listopada w 1980 r., dotychczas jednak nie przyniosły żadnych rezultatów.

Rozmowy genewskie, które na przemian odbywają się w siedzibach misji USA i ZSRR przy ONZ, utknęły w martwym punkcie wskutek odrzucenia przez Stany Zjednoczone wszelkich propozycji radzieckich i obstawania przy tzw. wariantach zerowym. Opcja „0”, obsesyjnie wysuwana przez prezydenta Reagana, zakłada rezygnację NATO z instalowania 108 „Pershingów II” i 464 „Cruiserów” pod warunkiem, że ZSRR wycofa rozmieszczone już wyrzutnie SS-20 oraz zniszczy stanowiska raket starszego typu (SS-4 i SS-5). Na niedorzeczność tych propozycji, jako niezyciowych i dających jednostronną przewagę USA, wskazywają nie tylko prasa radziecka, ale także wiele gazet zachodnioeuropejskich.

W ostatnim czasie, jak wiadomo, poważnie zainteresowanie wzbudziła propozycja sekretarza generalnego KC KPZR, Jurija Andropowa, stwierdzająca, że ZSRR gotów jest w zamian za rezygnację NATO z „Pershingów II” i „Cruiserów” zachować tylko tyle raket, ile posiada ich w Europie Wielka Brytania i Francja, przy czym zareaguje w przyszłości redukcjami swego potencjału, jeśli ulegnie zmniejszeniu arsenał tych obydwu krajów. Jednocześnie Jurij Andropow podkreślił, że potrzebne jest porozumienie w sprawie zredukowania do jednakowych poziomów liczby średniego zasięgu samolotów zdolnych do przenoszenia broni jądrowej, należących do ZSRR i NATO. Choć w poprzednich wypowiedziach Waszyngton odniósł się krytycznie do tej propozycji, to jednak rozszedk w niej zawarty niełatwy będzie do podważenia w nowej rundzie negocjacji rozpoczynających się w Genewie.

Oferta radziecka w odniesieniu do „eurorakiet” jest bardzo zbliżona do wcześniej lansowanych poglądów w niektórych kołach europejskich. W wydanym w ub. roku roczniku Międzynarodowego Instytutu Badań Pokojowych, SIPRI, w Sztokholmie zawarta jest właśnie opinia, że ZSRR powinien skasować wszystkie swoje rakiety typu SS-4 i SS-5, zaś liczbę raket SS-20 zamrozić na poziomie 162 raket średniego zasięgu znajdujących się w posiadaniu Francji i Wielkiej Brytanii. W zamian za to NATO powinno zrezygnować z rozlokowania 572 Pershingów i Cruiserów.

Polityka USA jest kręta i trudna do rozpoznania. Europę gnębi dziś pytanie czy administracja amerykańska ma w ogóle jakąś politykę zagraniczną — wiele wskazuje, że raczej tylko kieruje się ona obsesjami antyradzieckimi i antykomunistycznymi. Wątpliwe jednak aby na dłuższą metę niepokojące skłonności USA do raket, bomb i innych broni mogły być podstawowym narzędziem polityki.

Stany Zjednoczone będą musiały zdecydować się albo na logiczną konfrontację, albo na logiczną współpracę. Logika konfrontacji, czyli próby rozważenia z pozycji siły i odrzucenia zasady równoprawnych porozumień, nie wydaje się możliwa do kontynuowania. Europa nie wierzy bowiem w zagrożenie ze strony ZSRR. Europa nie chce też polityki, która w przyszłości mogłaby otworzyć nowe rany na kontynencie. Wyrzecz tych przekonań jest przede wszystkim coraz szerszy ruch antyatombowy w wielu zachodnioeuropejskich krajach i co jest — zapewne tego skutkiem, stały się zagrożeniem nacisk polityków europejskich na prezydenta Reagana.

Z pewnością nieprędko USA wywoła swą politykę zagraniczną od zależności broni atomowej. Ale wydaje się również pewne, że Europa, która była siłą napędową odprężenia, będzie skutecznie i coraz skuteczniej w miarę zbliżania się terminu instalowania Pershingów II, należała na Stany Zjednoczone, aby doszły w kwestii „eurorakiet” do tak koniecznego porozumienia z ZSRR.